

schowany 151

Powieści

I

PISMA HUMORYSTYCZNE.

FRYD. HR. SKARBKA.

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

TOM V.

PAN ANTONI. — PODRÓŻ BEZ CELU.

W WROCŁAWIU,
NARŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.

1840.

<http://rcin.org.pl>

PODRÓZ BEZ CELU

przez

FRYD. HR. SKARBKA.



TOM II.

W WROCLAWIU,
NARLADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA,
1840.



FRYD. HR. SŁABOJA

Tom II

W WROCŁAWIE
WYDAWCA: KSIĘGARNIA
1870.

R O Z D Z I A Ł I.

P i j a k.

— A wie Pan, że mi się teraz bardzo podobało między tymi Niemcami, rzekł raz mój Paweł przerywając milczenie wśród podróży.

— Doprawdy?

— Nie, bo widzi Pan, że to inni są ludzie jak nasi Niemcy.

— Jako inni?

— Ajuści; tutaj jak gdzie zajedziesz na popas lub nocleg, to ci się nie dadzą ruszyć do niczego, *hausknecht* wyprzęga konie, prowadzi je do stajni, nakarmi, napoi i znowu zaprzęże; dziewczyny poznoszą rzeczy, usłużą w pokoju, a człowiek nie ma do roboty; może sobie spać spokojnie, albo chodzić po mieście i przypatrywać się różnym cudom, jak owemu garkowi w tamtém mieście, co to był w niém jarmark jakiegoś popasali.

— To ci się tylko z tego podobają Niemcy, że ciebie w pracy wyręczają?

— Nie, nie tylko z tego, ale tak tu dobrze jest; oto wszędzie czysto, porządnie; tu się ja-koś dobrze mają. Coto było ludzi na tym jar-marku, a wszyscy tak porządnie ubrani, tyle było kupujących a tak mało pijanych. Coby też tu żydzi między nimi robili?

— Żydzi są i tutaj, tylko nie tak liczni jak u nas.

— Ej zaś, ja ani jednego nie widziałem.

— Ale bo się tak ubierają jak każdy inny mieszkaniec.

— A jeżeli są, czémże się to dzieje, że ich nie ma po karczmach i że chłopów nie rozpajają?

— Tutaj, mój kochany, nie masz tyle skłonności do pijaństwa. — Ta odpowiedź była dostateczną dla Pawła, ale nie dla mnie; nawinęło mi się bowiem pytanie: co było pierwszém w naszym kraju, czy skłonność do pijaństwa u włościan, czy żydzi, którzy ją tak upowszechnić i tyle dochodów z niej ciągnąć potrafili? Zatem poszło drugie pytanie: czemu przypisać pierwsze nastanie téj skłonności i nadzwyczajne rozplenie się żydów u nas? To przeniosło myśl do naszego dawnego układu towarzyskiego, a ztąd wynikł długi szereg wykrzykników i frazesów, które się wszystkie od *gdyby* zaczynały; a od jednego *gdyby* do drugiego, doszedłem nakoniec do tego: iżby nasz kraj był wyglądał tak jak oto

ta okolica miasta Görlitz, do którego właśnie dojeżdżałem, gdyby nie....

Wysiadłem z pojazdu gdy zwolna pod górę postępował i wyprzedziwszy go, szedłem piękną lipową aleją uradowany otaczającym mnie widokiem. Wśród głębokiego i obszernego parowu płynie Neissa, nadając ruch młynom, których łoskot o obecności przemysłowych ludzi świadczy. Zielone jej brzegi pokryte płótnem do bielienia rozpostartém, wznoszące się wzgórze ogródkami i różnemi domkami posiane, i utrefione poniekąd najrozmaitszemi sukniami przez fabrykantów pomiędzy białemi domkami i drzewami porozpiniaceni; snujący się i na dole i po górze pracowici ludzie, to koło płócien, to w ogrodach, to przy suknie; szum nakoniec téj dobroczynnej wody, która tutaj tyle zakładów przemysłu człowieka w korzystnym ruchu utrzymuje; ach jakże to wszystko rozwesela umysł! jakie słodkie wzbudza wyobrażenie o prawdziwém szczęściu, które przy pracy człowiek na ziemi zawsze znaleźćby powinien, gdyby... Ale nie, nie będę się zapuszczał w ten sam labirynt ubolewań i życzeń, z któregom ledwo wyszedł. Oddam się zupełnie przyjemności wrażeń jakimi przejęty jestem.

Nie mogłem się dosyć nacieszyć tym zajmującym widokiem; postępowałem zwolna, bo mi go żal było porzucić. Kazałem nakoniec jechać naprzód ludziom, a sam usiadłem w cieniu lipy aby jeszcze kilka chwil przyjemnych spędzić. Zatopiony w myślach byłbym może długo na

miejscu pozostał, gdyby krzyki i głośny śmiech moich ludzi o pareset króków oddalonych nie były przerwały mego dumania.

Pojazd mój stoi nad drogą, a Paweł i woźnica zdają się mieć coś bardzo śmiesznego przed sobą. Co to być może? Spieszę do nich, Paweł biegnie naprzeciw mnie ze śmiechem i mówi: „Panie, właśnieśmy dziś mówili, że nie masz pijaków w Niemczech, a tam taki jeden nad drogą siedzi, że pan pęknie od śmiechu jak go zobaczy.“

— I cóż śmiesznego, człowiek pijany?

— Ale bo to Niemiec kiedy się upije, to już dobrze: nie widać tu prawda pijaków, ale takiego głupiego jak ten co oto siedzi tom ja jeszcze nie widział. — Mówiąc to wskazał mi Paweł człowieka siedzącego na kamieniu i tak pijanego, że chociaż oparty o drzewo chwiał się na wszystkie strony. Oczy za mgłą nic nie widziały a z całej siły patrzeć chciały, usta się mimowolnie uśmiechały, słowem postać najdoskonalej uczęstowanego hultaja.

To przejście od widoku ludzi godnych swego powołania do tego spodlonego człowieka, przykre tylko na mnie uczyniło wrażenie. Z razu zdjęty byłem niechęcią ku pijanemu, ustąpiła ona miejsca litości. Ten człowiek opuszczony nad drogą może uleść jakiemu przypadkowi, może być okradziony, dajmy mu pomoc na którą nie zasłużył. Kazałem go podnieść z kamienia i wsadzić za pojazd, pomimo odradzania i zadziwienia moich

ludzi i w tém piękném towarzystwie wjechałem do miasta.

Gdym stanął przed domem zajezdny, otoczyło mię kilku ciekawych, a każdy który spojrział na pijaka, zamiast urągania rzekł: *das ist der arme Lorenz.*

Zdziwiony tém powszechném politowaniem nad pijanicą, zapytałem gospodarza, skądby pochodziło?

— Jestto, rzekł on, biedny dzisiaj człowiek, który był dawniej bardzo rządny i dobrze się mającym rzemieślnikiem. Zastałeś go Pan zapewne nad drogą za miastem, chodzi on tam zawsze gdy się upije.

— Ale dla czegoż pije teraz kiedy dawniej był rządny i pracowitym?

— Nie każdy, Panie, ma dosyć mocy nad sobą, aby mógł znieść nieszczęścia, które go trapią. Tego człowieka żal do pijaństwa przywiódł. Jest on rodem z południowych Niemiec, przywędrował tutaj jako ubogi czeladnik sukienniczy; pilność i dobre postęпки zjednały mu wziętość u majstrów tutejszych tak dalece, iż córkę jednego z nich pomimo ubóstwa dostał za żonę. Jój posag i pieniądze szczerze zarobione posłużyły mu do zakupienia gruntu za miastem, do wybudowania domu i założenia własnego warsztatu. Cała ta posiadłość była prawdziwie dziełem jego pracowitości i dlatego szczególniejsze do niej powziął zamiłowanie. Założył on przy domku pię-

dny ogródek na pochyłości góry, sam wszystkie drzewka w nim posadzał i poszczepił i po kilkunastu latach starania i zachodu koło niego, sływał między nami z wybornych owoców ogródka. Tam się zchodzili liczni przyjaciele jego w niedzielę; tam spólnym kosztem założono kręgielnię i każdy z upodobaniem szedł przepędzić wolne od pracy chwile w ogródku Lorenca.

— Wszystko mu się wiodło szczęśliwie, aż do czasów ostatniej wojny. Wtedy ustępujące przed nieprzyjacielem wojsko spaliło domek i zburzyło całą posadę: żona jego umarła ze zgryzoty i z przelęknienia, a on nieborak oddał się z rozpaczny tej zgubnej namiętności, której dawniej żadnego nawet nie miał wyobrażenia. Pracuje on wprawdzie i teraz po warsztatach, ale gdy tylko sobie wspomni na swój domek i ogródek, łzy mu się zakręca w oczach, porzuca robotę i biegnie do karczmy pić, a upiwszy się idzie na miejsce w którym znalazł szczęście dawniej. Dlatego każdy mówi na niego *biedny Lorenc*; nie litują się tak nad innymi, którzy się pijaństwu oddają.

Biedny Lorenc, powtórzyłem i ja za moim gospodarzem, i wspomniałem sobie na przyczyny nastania złych skłonności, które zbyt często za wrodzone poczytujemy.

R O Z D Z I A Ł II.

Dziurka do klucza.

Nudna to jednak rzecz odbywać podróż bez towarzysza, któremoby uwagi swoje udzielać można; trzeba albo z sobą samym nieustannie rozmawiać, albo też ubiegać się za nowemi znajomościami. Czyjaż to wina, że tak sam mierzę ten pokój krokami, albo siadam powierzać papierowi dostrzeżenia i myśli, którychby zapewne nikt tak obojętnie nie przyjął jak on? Moja bez wątpienia; czemużem nie zabrał z sobą jakiego dobrego przyjaciela, z nimbym dzielił przyjemności podróży, onby uprzyjemniał wieczory, które, tak jak dzisiaj na przykład, dla niepogody w oberży i to jeszcze w Bauzen, gdzie ja o nikim a nikt o mnie nie słyszał, przepędzać muszę. Teraz mi się dopiero przypomina, iż to trzeba było zrobić przed wyjazdem, teraz kiedym

już tak daleko zajechał; ja takim zawsze będę, żal i przezorność po niewczasie, oto jest znamie mego charakteru. Ale jakie smutne skutki nadal ztąd wyniknąć mogą, wszakże to nie pierwsza i nie najgłówniejsza podróż moja bez towarzysza odbywana.... Kto wie jak bliskim jestem końca mojej doczesnej wędrówki, którą tak sam na sam odbywam! przebędę ją, stanę u mety, zniknę z pomiędzy wszystkich, a nikt nawet nie dostrzeże tego, żem ubył i tam nawet na nikogo czekać nie będę.

Jeżeli mię nieraz smutek ogarnia na samo wspomnienie mojej samotności wśród natłoku ludzi, którzy są tak obcymi dla mnie, twoja to wina Emilio, ty coś mój wiek słodkich marzeń i nadziei zajmowała, a wieku rozwagi i strapień zemną dzielić nie będziesz. Czemuż zbyt przezorny i nieśmiały, wahałem się tak długo z oświadczeniem uczuć moich? Dlaczegoż przerwawszy raz milczenie nie umiałem przewyciężyć przeciwności, a nadewszystko przemódz nad własną słabością? Obrażony od rodziców nie umiałem poświęcić dumy miłości; a za to teraz.... Potrzebny ja tutaj? nie mógłbym pędzić spokojnych chwil w domowym zaciszu, gdybym tam towarzyszkę posiadał?

Lecz na cóż się przydadzą te niewczesne żale... [bierzmy rzeczy jak się nawijają, stawmy czynność w odsieczy przeciwko napaści zgryźliwych myśli;] tak zapewne, czynność, zwłaszcza dziś i tutaj.

Myśląc o tém coby to robić żeby się nie nudzić, chciałem objaśnić świecę, w nadziei że mi jaśniejsze światło weselszej myśli doda, a przynajmniej sposobność rozerwania się czémkolwiek bądź nastęczy. Zamiast objaśnienia zgasiłem świecę; i to będzie rozrywka, trzeba szukać drzwi a potem zejść na dół zapalić świecę. Łatwiej szukać jak znaleźć; chodząc po omacku trąciłem o kantorek, wypadła mi świeca z lichtarza; a zatem nie tylko drzwi ale i świecy trzeba jeszcze szukać, a! to utrapienie. Gdym się schylał na próżno i zawsze mimo świecy sięgał po ziemi, zajaśniało mi coś przed oczami, małeńki punkcik jasny po lewej stronie; to dziurka od klucza.

Ucieszyło mię to dostrzeżenie; raz była nadzieja dostania światła od sąsiada, drugi raz, co lepsza, można było zajrzeć dziurką co się tam dzieje: otóż i rozrywka gotowiuteńka. A kto wie co się tam zobaczy, może to sąsiadka nie sąsiad. Przemogła ciekawość nad potrzebą znalezienia świecy, pospieszyłem na palcach do drzwi z których światło dochodziło, wyróciłem po drodze stolec i tak się tém przeraziłem jak gdyby mię kto był na uczynku złapał, nakoniec trąciwszy jeszcze o stolik stanąłem w miejscu pożądaném, i zatrzymawszy dech z wszelką przeczornością przykładam oko do zamku. Nie omyliła mnie nadzieja, była w istocie samej sąsiadka i do tego ładna.

Siedziała u stolika i robiła pończochę; ale

oko jój rzadko kiedy śledzi poruszenia zręcznych palcy: to niewzruszone pogląda na świecę, to się zwraca troskliwie ku mojej stronie. Bieg myśli przerwał na chwilę robotę, sparła czoło na lewej ręce, w prawej trzyma z niechęcia robotę; uśmiech pocieszającej nadziei osiada na ustach, znowu wraca do roboty. Zegarek bije godzinę, o jakże pilnie słucha; to zapewne godzina umówiona... Kto wie co ja z mego obserwatorium widzieć będę. Wstaje i biegnie do szafy, dobywa czegoś, nakrywa stół; będziemy jedli; trzeba uczęstować oczekiwanego; tak jest, dwa nakrycia, to oczywiście. Ale jak wszystko czysto, porządnie, nie masz srebrnych stuczców, ale noże i widelce w kościanych okładkach takie czyste, nakrycie takie świeże. Wszystko już ustawiła, maselnickę, ser na talerzu, bochenek chleba i piwo; to skromna będzie biesiadka.

Drzwi się otwierają, wchodzi średniego wieku mężczyzna: to on zapewne, nie inaczej; powstała sąsiadka, pobiegła naprzeciw niemu i uściskała go serdecznie.

— Gdzieżeś tak długo przebywał? zapytała z uśmiechem.

Chciałem przeczekać deszcz ulewny, kochana Joasiu. Dziś dużo było do czynienia, jakto zwyczajnie przy objęciu nowego urzędu.

— Jesteś zapewne zmęczony: siadaj, zaraz będzie wieczerza. — Raz ją uścisnął jeszcze, poszedł ku mojej stronie, ja się cofnąłem od

dziurki z obawy spostrzeżenia: sąsiadka też wyszła. Co to być może, czy kochanek, czy mąż? podobno ostatni ze dwojga; ale jeszcze taki serdeczny i umizgający. Patrzmy dalej.

Wróciła wkrótce sąsiadka, a za nią służąca przyniosła talerz pełen kartofli w łupinach czyli, jak mówią, w mundurach. A pfe, to nie wypada do takiej kolacyjki, to musi być mąż. Siadają, jakże szczerą wesołość maluje się [na tych twarzach, jakże smacznie tę skromną wieczerzę zjadają. Co? nie więcej prócz tych kartofli, których samo obieranie tak jeszcze wiele czasu zabiera. A nie, sąsiadka wstaje i przynosi z szafy pieczeń cielecą na zimno; a, będą butersznity: rozmowa się toczy wciąż, nadstawiam pilniej ucha.

— *On* — Czy on spi?

— *Ona* — O już dawno usnął.

— *On* — To trzeba ciszej mówić, aby go nie obudzić.

A to co? czyliżby kto miał spać w tym samym pokoju lub w ubocznym? toby było zaśmiało. Nie, to pewnie mnie się tycze.

— *Ona* — Tak się długo bawił zemną, tak mię całował.

— *On* — Szkoda żem wprzód nie przyszedł.

Nie rozumiem. Już to nie mnie się tycze, ale czegoż on żałuje, że dawniej nie przyszedł. Aha, domyślam się: zapłakało dziecko w kolebce, porwała się matka od stołu, poszła ku mojej

stronie tam gdzie się oglądała wprzód; wstał i ojciec i slyszalem znowu pocałowanie przy łó-żeczku dziecięcia.

Służąca wraz z panią sprzątnęła resztę wieczerzy i nakrycie, pochowała wszystko do szafy. Przeniesiono świecę na inny stolik, odda-
lono się z mojego horyzontu, już mi się na nic nie przyda moje obserwatorium; poszukajmy świe-
cy: mój Boże, czemuż ja nie mam towarzyszki podróży!

Po długim szukaniu znalazłem przecież drzwi i zeszedłem do gospodarskiej izby, najwię-
cej podobno aby powziąć wiadomość o sąsiadach moich. Był to nowo przybyły wyższy urzędnik sądowy, który tymczasowo na parę miesięcy wziął mieszkanie w oberży; mówiono mi o nim z ozna-
kami tego poszanowania, które znaczenie wzbu-
dza; była to tedy, jak zwykle mówią, jedna z pierwszych figur w tém dosyć znaczném mieście. A jednakże piechotą wrócić musiał, bo czekał póki deszcz nie minie, w swojej kancelaryi, miał tylko jedną służącą, której żona w usługach do-
pomagała, i jadł kartosle w mundurach i ciele-
cinę na zimno z chlebem z masłem na wiecze-
rzę, pił tylko piwo.... O jakże też to ponie-
miecku!

ROZDZIAŁ III.

M o s t.

— Jakże mi tu dobrze, jakże mi też tu dobrze! zawolałam sobie na wpół głośno, siedząc nazajutrz po przybyciu do Drezna na ławce tego wspaniałego mostu, którego okolica więcej jeszcze jak sztuka ludzka ozdabia. Dopiero com był wstał od stołu à table d'hôte więcej umysłowo jak fizycznie nakarmiony; bo towarzystwo przystojne, kobiety przyjemne, rozmaitość osób i ich postawy, samo przeniesienie się między innych ludzi i inne zwyczaje, do tego muzyka dobrana, jak wśród zaproszonej uczy: wszystko to rozkołysało mój umysł. Byłem szczęśliw i kontent, do tego stopnia iżbym był każdego ścisłał, i że całemu światu dobrze życzyłem.

Nie było przed kim wynurzyć uczuć moich, westchnąłem znowu do towarzyszki podróży i po-

cząłem, tak jak w szczęśliwym wieku marzeń, powierzać uczucia moje pięknej naturze. Niestety! ostygły już dzisiaj żądze, serce nie bije już na widok rozległego horyzontu, po którym hojne przyrodzenie bogactwa swoje rozpościera; imaginacya nie umie już ukryć przed wzrokiem tego co jest szpetném, aby tém bardziej piękności wywyższyć. Niekiedy tylko szal chwilowy, uniesienie przemijające wraca jeszcze umysłowi owe wzruszenia młodości, równie miłe jak wspomnienie stariej niewiasty na dawną piękność. Teraz trzeba już towarzystwa, aby rozweselić i rozbujać uciechami umysł; dawniej w samotności unosił się po za granice pojęcia i umiał być szczęśliwym patrząc tylko na błękit nieba, na błądy księżycy promień.

Gdybym był panem, tobym osiadł nad tym zajmującym brzegiem Elby. Tam kędy się ta wieżyczka wznosi, wystawiłbym ozdobny dom; ogród mój rozciągałby się po tych winnicach aż do samej wody: pięknie przystrojone statki przybijałyby codziennie do tego brzegu, przywodząc mi gromadkę dobrych przyjaciół i przyjaciółek z tej stolicy. Zawisć, plotki, złośliwość, chęć wynoszenia się jedni na drugich, wszystkie te nieznośne towarzystw naszych przywary nie miałyby przystępu do mego domu. — Dawna gościnność polska, owa otwarta grzeczność, która na naszej ziemi wzrosła, te obyczaje których niezgrabne cudzoziemczyzny małpiarstwo jeszcze nie skaziły, u mnieby panować musiały. Każdy gość znalazłby

w mym domu pogodne czolo u przyjmującego gospodarza, uprzejmość prawdziwą u gospodyni, stół więcéj smaczniemi jak wykwiłtnemi potrawami zastawiony, wino dobre to *in quo nati sumus*; muzykę ulubionę powtarzającą pieśni i was śliczne niewiasty mego kraju, za któremi tęschnię. O jakżeby tam żył szczęśliwy! jakżeby był kochany od wszystkich! A coto za szczęście być kochanym. Czemuż nie posiadam jakiej zagrody nad tym pięknym brzegiem.

A choćbym ją posiadał, chociażbym miał majątek odpowiedni, mój dom, mój ogród; cała moja posada byłaby tylko zamkiem na lodzie. Gdzież są tutaj ci przyjaciele i te przyjaciółki, któreby do nich uczęszczały? Czémżeby tu polska gościnność, żywość w zabawach i nieco nawet przygłośna wesołość były? [Ojczyście obyczaje nie dają się przenieść na obcą ziemię, zaród ich ginie na cudzoziemskim gruncie; niestety! podobno on i na ojczystym coraz bardziej słabieje i nie wytrwa aż do następnego pokolenia.]

Choćbym nadludzką posiadał władzę i tę zachwycającą okolicę nad brzegi Wisły ze wszystkiemi jój powabami przeniósł, choćbym tam założył moją gościnną posadę; gdzieżbym szukał tych ludzi, którzyby zemną prawdziwe rozkosze dzielić chcieli? Jedni wyżsi nad wszystko cokolwiek ich otacza, żyjący w strefie wielkiego świata dla małej tylko liczby wybranych dostępnej, nie należą do żadnego kraju, dla tego że obyczaje wszystkich krajów pomiędzy sobą za-

prowadzić usiłują. U nich to jest piękném i dobrém, co ich od wszystkich innych odznacza, to jest podlém, co jest pospolitém. Wzdrygając się na samo wspomnienie dawnych obyczajów polskich, nie starali się oni uszlachetnić i udoskonalić zarodu dobrego, który w nich był zawarty, i upięknąć dawną gościnność i otwartość okrasą postępującej coraz oświaty i poloru, lecz rzucając w niepamięć wszystko co było, zagrzebali dobre pod przywarami nieokrzesania, a łatwiejszej chwycili się drogi małpując obce zamiast udoskonalenia własnego. Za tymi postępują inni którzy nie należą do ludzi wielkiego świata: ci ubiegają się za tém aby ich przynajmniej naśladować mogli i tém się chelpią, że nie w nich dawną *Szlachtą Polską i prowincyą* nie trąci. Wszędzie koterye, szyderstwa i przekąsy we wszystkich ustach, podżegania jednego oddziału złorzeczących przeciwko drugiemu; u wszystkich panująca chęć wywyższania się jedni nad drugich, rosnące zbytki wraz z ubóstwem, poświęcanie samego nawet szczęścia opinii publicznej Ach nie wybuduję domu, nie założę ogrodu dla przyjaciół ani nad brzegami Elby, ani nad brzegami Wisły.

Tak mi tu dopiero dobrze było . . . a pocóżem chciał budować nie na swoim gruncie? Lecz dlaczegóżbym nie miał nad brzegiem Elby znaleźć spokojnej szczęśliwości? w innym rodzaju zapewne, ale między tak dobrymi, powol-

nymi ludźmi mógłbym żyć szczęśliwy, nawyknąć do ich towarzystwa.

Temi myślami zajęty wstałem z ławki i bez żadnego zamiaru szedłem po lewym boku mostu, nie zważając na to że się wszyscy na mnie patrzą a większa część popycha. A to co? i za co? Cóżem tym dobrym ludziom przewinił? cóż mogę mieć dziwnego w mojej postawie, że mi się tak przypatrują?

— A gdzieżto Pan idziesz? zawołał na mnie wysoki mężczyzna zatrzymując mię, jak gdyby miał prawo badać mnie o to. Zdziwiony nie wiedziałem co odpowiedzieć. „A czy Pan nie widzisz, że tą stroną nikt ze Starego miasta nie idzie i że Pan przeszkadzasz tutaj wszystkim którzy do niego idą: po tamtej stronie iść trzeba.“ Zdjąłem kapelusz pokornie, podziękowałem za grubijańskie napomnienie i przeszedłem na drugą stronę mostu, zniechęcony raz ową drobnostkową systematycznością Niemców, nawet w chodzeniu po ulicy, drugi raz tym brakiem uprzejmości i względności dla tego kto się myli, lub przez niewiadomość przestępuje ich zwyczaje i rozporządzenia.

R O Z D Z I A Ł I V.

Rękopism.

Dziś rano poszedłem oglądać ciekawości naj-sławniejszej stolicy. Widziałem odlewy gipsowe i skarbiec królewski; zająłem się w jednym doskonałym pięknej natury naśladowaniem, a w drugim kosztownym i nader sztucznym piękności zeksztalceniem; zarumieniłem się w jednym i w drugim miejscu, gdy przyszło panom konserwatorom tych pięknych i kosztownych zakładów, pieniądze za wolność obejrzenia w rękę włożyć, bo ich powierzchowność nie przypuszczała myśli cheiwości i wzbudzała obawę, aby się nie obra-zili datkiem.

Rozmyślając nad mocą opinii, nad dziwactwem jój przepisów względem tego gdzie można a gdzie się nie godzi pieniędzy przyjmować, za co się nie raz ten wstydzi nadstawić jawnie ręki po du-

kata, który potajemnie lub przez trzecią osobę talara przyjmie... Rozmyślając, mówię, nad temi osobliwościami w obyczajach ludzkich doszedłem z kolei za przewodnictwem mego Cicerone, do tego szanownego zbioru, w którym się pamiątki średnich wieków nagromadzone znajdują. Jeszcze było nieco zawczasie, ktoś inny oglądał starożytną zbrojownię, trzeba było czekać kwadrans na otwarcie drzwi do niej. Mój przewodnik oświadczył mi, iż dla zmniejszenia kosztu i dla tym łatwiejszego przypuszczenia do oglądania tych ciekawości, mam się złączyć z dwiema osobami które w sieni zastałem. Nie mając co lepszego do czynienia zwróciłem uwagę na moich kolegów ciekawości.

Jeden z nich był Anglikiem podróżującym. Wchodząc prawie razem zemną poszedł prosto do drzwi, zdziwił się że je zastał zamknięte, zadzwonił, uchylono je, powiedziano że jeszcze nie czas i zamknięto natychmiast. On nie zrozumiał dobrze odpowiedzi, nie wiedział przyczyny dla której czekać należało i oświadczył głośno, iż zapłaci i że kiedy chce płacić, więc musi być wpuszczony. Drugi kolega usiłował wytłumaczyć mu przyczynę zamknięcia drzwi, ale ponieważ mówił po niemiecku, więc nie został rozumiany; udał się tedy do łaciny, która zupełnie Anglika zniecierpliwiała, gdyż ledwo się domyślał że to miała być łacina, dla różności wymowy tego języka, który w każdym kraju brzmi odmiennie. Ja wziąłem pośrednictwo między nimi, dodałem trzeci ję-

zyk, to jest francuzki, do poprzednich, i takem się dobrze wmieszał do rozmowy, żeśmy się nakoniec wszyscy nie rozumieli i że Anglik nasłuchawszy się długo naszej gadaniny we dwóch językach, wcisnął nakoniec kapelusz na uszy, funął dobitnie po swojemu, włożył obie ręce w kieszenie surduta i odszedł. A my tłumacze zostaliśmy naprzeciw siebie z otwartymi ustami chcąc jeszcze kończyć peryody, których nam Anglik przez nagłe wyjście do końca doprowadzić nie dozwolił.

Rozśmiałem się głośno z naszej postawy i z zadziwienia poważnej figury, którą miałem przed sobą, i przerwałem milczenie zamieniając francuzko-łacińską rozmowę na zrozumialszą dla nas obudwóch, to jest niemiecką. Zaczęła się ona naturalnie od Anglika i jego niewyrozumiałości.

— To szczególna rzecz jednak, dodał w końcu mój kolega, że on nas nie mógł zrozumieć, bo za pomocą łacińskiego, niemieckiego i francuzkiego języka, można wszystkie niemal inne języki zrozumieć; znać tedy że gruntownie żadnego z nich nie posiada.

— Ja nie wiem, czyli za pomocą tych trzech języków wszystkie inne zrozumieć można: mnie się zdaje że to nie są, zwłaszcza dwa ostatnie, języki pierwotne.

Tu nie idzie o to, który z tych języków jest pierwotnym lub nie: ale jak wiadomo, język Romański był mieszaniną wszystkich trzech, a z

tego romańskiego języka powstały europejskie dyalekta, tak dalece że dobrze tylko pojawiwszy się duch języka Romańskiego, toby wszystkie europejskie języki zrozumieć można.

— Znać tedy, że nasz Anglik Romańskiego języka nie znał.

— I bardzo mało go kto zna dotąd; ale ja jestem oddawna zajęty ważnym badaniem nad naturą tego języka. Długo praca moja była równie mozolna jak bezskuteczna, dla tego że tak mało mamy pomników pismiennych z owego czasu gdy ten język powstał i panował: ale teraz wpadł mi przecież w ręce nieocenionj wartości manuskrypt, który mię już do wielu wniosków nader ważnych doprowadził, i który, jak się o tém przekonałem, w romańskim języku jest napisany. Tylko to szkoda, że charaktery pisma ówczesnego tak są trudne do odgadnienia, iż mi z wielką pracą przychodzi odgadnąć je wszystkie. Po dwuletniej pracy doszedłem do odkrycia klucza tego pisma, ale co najdziwniejsza, wystaw sobie Pan, że mam już 24 liter znajomych, a jeszcze mi kilka kulasków do odgadnięcia zostaje; dla tychto właśnie kilku nieznanym mi liter, przybyłem tutaj z Lipska przejrzeć jeszcze raz dokładnie ten zbiór, a mianowicie napisy na dawnych puklerzach, czyli też w nich coś podobnego do moich kulasków nie znajdę.

— A czy Pan rozumiesz to coś już odgadnął?

— Nie ze wszystkiem jeszcze, ale to żadnej wątpliwości już nie podlega, że mój manuskrypt

jest w języku Romańskim pisany; a nieznanome charaktery są pierwszą niekształtną przemianą liter łacińskich na niemieckie, z których następnie nasze dzisiejsze pismo powstało.

Byłby może mój erudyta dłużej jeszcze rozprawiał, ale właśnie nam drzwi otworzono. Ja z upodobaniem przypatrywałem się pamiątkom średnich wieków, w tak wielkiej liczbie tutaj nagromadzonym, przenosiłem się w myśli do owych rycerskich czasów, które obok dzikości powstającej na nowo oświaty, tyle pięknych obyczajowych znamion miały; a mój kolega szukał skwapliwie napisów po pałaszach, po tarczach, siadzeniach, słowem gdzie tylko ślad jakiego pisma mógł znaleźć, przepisywał wszystko i zbierał materiały do dalszych uczonych badań swoich.

Nie bardzo jednakże obfite były jego zbiory, bo wychodząc utyskiwał nad tém, że nie podobnego do nieznanomych kulasków nie znalazł. Nie odstraszył jednak tém przeciwnieństwem unosił się nad ważnością skarbu literackiego, który posiada i ciesząc się naprzód sławą, którą mu odgadnięcie i wydanie rękopismu zjedna, raczył mi zrobić tę szczególną łaskę, że mię do siebie zaprosił aby mi mógł to wielkie cudo ukazać.

Gdyśmy przybyli do jego mieszkania, otworzył skrzynkę osobno na to zrobioną i dobył owego sławnego pisma w stary zapisany pergamin oprawnego; a nim je otworzył, opowiedział mi historią jego, z której, pomijając nieznośne

wyszczególnianie drobnostek, wynikło: iż pewien uczeń akademii halskiej nabył je, w podróży swojej podczas feryj, od Włocha, który je był przypadkiem w pewnej framudze rozbierając dom swój w Medyolanie znalazł; że ten akademik, przymuszony nagle opuścić Hallę za nadejściem wojsk frankuzkich w roku 1806, sprzedał je za marne pieniądze, bo za 10 luidorów, jednemu profesorowi, który pracował sześć lat nad odgadnięciem znaczenia rękopisma i umarł nie skończywszy pracy. Po jego śmierci kupiono ten już wtedy sławny rękopism za 20 luidorów na licytacyi ruchomości biblioteki zmarłego profesora; nieszczęściem podkupił wtedy znawcę żyd handlujący starami książkami, i pewnym będąc zebrania znacznych dostatków za ukazywanie a następnie za sprzedaż tego manuskryptu w Anglii, chciał się udać z nim do tego kraju: ale trudność dostania paszportu w owym czasie wojennym, stała przeciw na przeszkodzie wyprowadzeniu z krajów niemieckich tego skarbu. Żyd nie chcąc tracić na procencie, sprzedał go w Lipsku za 25 luidorów jednemu amatorowi starożytności, u którego bez żadnego użytku leżał, aż gdy po śmierci młody kapitan, syn amatora starożytności, odziedziczył majątek, kamienie drogic i medale spieniężył, a bibliotekę darował. „Przy tém smutném znieważeniu tylu ważnych i tak starannie zbieranych pomników starożytności“ dodał w końcu mój erudyta przyciskając rękopism do łona „szczęśliwy los zrządził, iż się do mnie przynaj-

mniej to drogie pismo dostało, które teraz pielęgnuję *sicut dimidiam partem animæ meæ.*“

Po tym długim prologu, otworzył mi na koniec książkę i ukazał pismo dziwaczne, ale zanadto biegle pisane aby z owych czasów, o których on wspominał, pochodzić miało. Było wszystkiego cztery kartki zakopconego pergaminu, na wszystkie strony zapisane: a na początku oddział niejako przedmowę stanowiący. Ten oddział już był cały odgadnięty przez erudyta; wszystkie litery, wyjąwszy kilku niedocieczonych kulasków, okazał mi spisane na arkuszu zwyczajném pismem, i wyznając że nie rozumie jeszcze dokładnie znaczenia wyrazów z tych liter złożonych i że tych wyrazów dostatecznie odłączyć nie umie, jest jednakże przekonany, że rękopism w Romańskim języku jest pisany. Na dowód tego dał mi następujące tłómaczenie liter przez siebie wytłumaczonych.

— Naprzód trzeba Panu wiedzieć, że pierwszy wiersz jest całkiem łaciński i zawiera nazwisko autora: wszystko w nim rozumiem, prócz czterech liter, które zapewne są tytułami nam nieznanemi tegoż autora: oto ten wiersz:

— *Primus Zoni opus C. Z. A. C. Hallegoli, id est Zoni Hallegoli primus*, zamiast *primum* wprawdzie, ale to może omyłka pisowni, *opus*. Ale co reszta to trudna bardzo do zrozumienia: oto jest.

— *Pis zetegriz mol i kop cete karti Abido*

tacpi enidz i odia kiego Antikvarius za na drog dodo mu.

— Prócz bowiem wyrazów *kop* vel *kopf*, *karti* vel *karte*, *Abidos* nomen proprium, *odia*, *antiquarius*, reszty jeszcze nie wytłumaczył.

— Ale ja je panu wytłumaczę, tak jak i cały rękopism — odpowiedziałem uderzony spadkiem ostatnich wyrazów. Przypomniawszy sobie bowiem historią tego ważnego dzieła przyszło mi na myśl, czy też jaki uczeń przyciśniony potrzebą nie napisał go umyślnie, aby znaleźć zasilek na podróż, podchodząc zręcznie jakiego znajomego sobie amatora osobliwości. Wziąłem przed się odgadnięte z taką pracą litery przez mego erudyta, który z otwartymi ustami na mnie się patrzył, i zacząłem je pisać na osobnym papierze szykując rozmaicie. Nakoniec udało mi się dojść, iż to pismo Romańskie było dziełem ziomka, który wypędzony zapewne wraz z innymi akademikami przez Francuzów, musiał udać się do fortelu, aby miał o czém odbyć daleką podróż do ojczyzny. Dziwaczne słowa przez Niemca ułożone były bardzo prostemi, zmieniając bowiem połączenie liter i dopełniając litery nieodgadnięte, owe kulaski Niemcowi nieznanym, to jest ł, ę, ć i t. d. i pisząc y tam gdzie i mieścił, wypadło mi nakoniec co następuje.

Przymuszony opuszczać Hallę goły, piszę te gryzmoły, kopcę te karty, aby dostać pieniędzy od jakiego antykwaryusza na drogę do domu.

Przeczytawszy te kilka wierszy, rzuciłem się na krzesło i zacząłem się śmiać głośno; a mój erudyta patrzył się zawsze na mnie z największym zadziwieniem; nakoniec zaczął się gniewać, pytał się kilka razy o przyczynę mego śmiechu i zupełnie się zapyrzył, nim ja mu ją przed śmiechem odpowiedzieć zdołałem. Gdym mu nakoniec oświadczył, że ów Romański rękopism był popolsku napisany, gdym mu wytłumaczył znaczenie wyrazów, których on nie rozumiał, gdy sobie przypomniał, że ów uczeń, pierwszy właściciel rękopismu, był istotnie Polakiem: ukoił się, stanął jak wryty i miał postać człowieka, który wielką poniósł stratę, a ja nie chcąc się dłużej śmiać w jego obecności zostawiłem go w tém smutném zadumaniu.

ROZDZIAŁ V.

S t a t e k.

— Jeszcze jest miejsce, niech Pan siada: dwa Dobre grosze. — Zapłaciłem i wszedłem na statek a zamną wniesiono jeszcze kosz salaty i duże naczynie pełne mięsa.

— Już odbijamy — halt, wart — cóż takiego? — Zapomniano czterech indyków.

— I ja też jeszcze, zawołała młoda dziewczyna i za ich pośrednictwem dostała się na statek. Podałem jój rękę, podziękowała i weszła do kajuty. — Ja tam nie wejść; pełno wiktuałów i rozmaitego rodzaju ludzi, zaduch i nudna rozmowa, a tu na pokładzie tak przyjemnie.

— Co to za statek? zapytałem przewoźników; dokąd te wiktuały przeznaczone?

— To jest królewski statek, codziennie z miasta potrzeby kuchenne do Pillnitz dowożący.

— Więc ja jadę do Pillnitz, pomyślałem sobie, gdyż zupełnie niechcący i bez wiedzy dokąd mnie zawiozą, dałem się namówić do podróży. Nie masz w tém nic złego, cieszę się teraz, że bez żadnego namysłu uległem natchnieniu, lub namowie przewoźnika. I płynę spokojnie, poglądam na zajmującą okolicę; rozpięte żagle innych statków poważnie nas mijają; puściłem cugle myślom, zapatrzyłem się na bieg wody, na winnice, wioski i ludzi, płynę coraz dalej, nie spostrzegłszy nawet, że już miasto daleko zamną zostaje. Jakże spokojne, jak słodkie jest moje marzenie, jak pełny pociechy stan mojej duszy! i to wszystko prawie pomimo woli mojej, i za dwa Dobre grosze.

Tak jest, za dwa Dobre grosze, jakżeto mało za tyle uciechy! a jakżeż my drogo nieraz chwilę zaspokojonej próżności płacimy! Nie, nie widzę ja stosunku między zapłatą i uciechą, nie masz między niemi koniecznego i wzajemnego związku. Ileżto nieprzebrane w obfitości przyrodzenie najpiękniejszych darów swoich darmo przed nami rozwija, a my z nich nieraz dla tego właśnie korzystać nie chcemy, że *darmo*, że wszyscy ludzie udział w nich mieć mogą. [Skutkiem zapewne wygórowanej oświaty potrafilimy zastąpić rzeczywiste uciechy urojonemi; opinija wyrzekła stanowczo względem tego co bawić i pocieszać powinno, bez względu na to, czy jakie przyjemne wrażenie trafia do czucia lub nie;] uśmiechamy się i okazujemy radość, podobni do tych pagod

Chińskich co czasem kominki nasze zdobią. [Piękność i uciecha, równie jak i wszystko, mają swoją pieniężną cenę, i ta stanowi o ich wartości; wszystko jest nudne i podłe co pospolite i tanie, wszystko jest szczytne i zachwycające co ma wysoki szacunek pieniężny.] Między tysiącami panów téj ziemi, rzadko który tyle używa prawdziwej uciechy jak ja teraz siedząc na ławce tego statku między przewoźnikami, obok kucharzy, przekupek i nie wiem kogo, i to za dwa Dobre grosze; a żaden z tych panów chociażby i wiedział naprzód, że równiej jak ja teraz dozna przyjemności, nie wszedłby na ten statek, nie płynąłby Elbą, dla tego właśnie, że każdy inny człowiek toż samo czynić może, że téj uciechy za dwa Dobre grosze dostać można.

Ale się podobno moja uciecha skończy, deszcz rześisty zaczyna padać, szkoda prawdziwie tak pięknego widoku; cóż robić? trzeba się schronić do kajuty. Wygodny pokój, dwa w nim okna, ławki po bokach. Wchodząc zastałem miejsca wszystkie zajęte i rozmowę bardzo żywą. Wtyle między szynkami, ozorami, sałatą i indykami, jak wśród fascykulów akt urzędowych, siedział z poważną miną urzędnik kuchenny, z książką otwartą w rękę. Po prawej stronie siedziało najprzód dwóch wirtuozów, którzy spali praenumerando za noc na czuwaniu strawić się mającą. Za nimi następowała gruba mamula z pończochą w rękę, która miała obok siebie koszyk napełniony sucharkami i owocem, aby uprzy-

jemnić podróż mażącego się nieustannie synalka, bo póty tylko milczał póki usta posilku pełne były. Po lewój stronie najbliżej urzędnika kuchennego, mała garbata, uśmiechająca się i gadatliwa niewiasta; przy niej palił spokojnie lulkę wysoki, wyschły mężczyzna, którego buty palone urzędnika stajennego oznaczały; milczenie jego i ciągła spokojność twarzy, zdawały się być oznakami człowieka głęboko myślącego; na końcu zajmowała miejsce owa dziewczyna, której ja rękę podałem.

Gdym wszedł, przerwano na chwilę rozmowę, szło wszystkim o to aby znaleźć miejsce dla mnie; urzędnik kuchenny usunął ćwiartkę cielęciny i prosił, abym jój miejsce zajął. Mamma chciała dać koszyk do trzymania synalkowi, który się za to rozbeczał. Garbata niewiasta usunęła się ile tylko mogła i zaręczała głośno, iż jest przy niej miejsce wolne do zajęcia. Przyjemna dziewczyna chciała mi miejsce przy sobie zrobić, widać to było po jój spojrzeniu, które znaczyło: jabym się jak najchętniej usunęła, ale mój sąsiad w palonych butach nie chce się wcale z miejsca poruszyć. Mając więc wybór między miejscem po ćwiartce cielęciny, przy gadatliwej niewieście i obok płaczącego synalka, obrałem to ostatnie, bo przynajmniej naprzeciw jednej znośnej twarzy siedzieć miałem, i wzięwszy koszyk od chłopaka uskarbiłem sobie jego łaskę gruszką, i spokojność na czas niejaki przywróciłem.

— Otóż, jakem już powiedział, rzekł urzędnik kuchenny ciągnąc dalej przerwana przezemnie powieść — ów rycerz stary dał mu słowo tedy...

— Eh! wie pan co, przerwała mu gadatliwa garbata, która nie wiem dla czego w oczach moich koniecznie starą panną i ciotką była — trzeba od początku tę powieść powtórzyć, bo ten pan, który przyszedł, nie będzie rozumiał końca.

Chciałem podziękować za grzeczność z tak nadzwyczaj słodkim uśmiechem wyrzeczoną i niedozwolić powtórzenia, gdy moja sąsiadka, ujęta zapewne gruszką jej synalkowi przezemnie daną, głosowała także za powtórzeniem powieści, kiwając ku mnie obróconą głową; panienka z naprzeciwna spotkała moje wejrzenie i z zezwalającym uśmiechem spuściła oczy; muzykanci przebudzeni poprawili się dla tym lepszego zaśnięcia, a urzędnik stajenny na nowo lulkę nałożył i ognia skrzesał, nie mieszając się wcale do dyskusyi. Nakoniec zaczęła się na nowo powieść.

„Nad dwoma brzegami tego wąwozu któryśmy dopiero minęli, stały niegdy naprzeciw siebie dwa zamki, w jednym mieszkał jeden stary rycerz, a w drugim mieszkał jeden młody rycerz.

— Za pozwoleniem, przerwała ciotka — Pan nam nie powiedziałeś nazwiska tych dwóch rycerzy.

— Tego ja powiedzieć nie mogę —

— A to czemu?

— Bo sam nie wiem. Dostyc że ich było dwóch, stary i młody. Stary miał piękną córkę w której się młody pokochał. Ale gdy się o nią oświadczył i żądał jej ręki, rzekł mu ojciec: że tak natychmiast córki dać nie może, że on jeszcze zamłody na męża, że musi jeszcze jechać za granicę i rok cały bawić, aby poznał ludzi i po powrocie dopiero o córkę będzie się mógł starać. Kiedy już inaczej być nie mogło, więc młody rycerz jednego dnia przyjechał w całym swoim rynsztunku na dziedziniec zamku ojca kochanki swojej, i prosił o wolność pożegnania się z nią, i o błogosławieństwo. Na co mu pozwolono i ów stary rycerz, jak już właśnie miałem mówić . . . dał mu słowo . . .

— Mutter! zawołał mój mały sąsiad, a ja dobyte natychmiast sucharka z koszyka i zatkałem mu usta, aby nie przerwać rozmowy.

— Ja myślałam, rzekła ciotka, że on ją wykradnie.

— Ej, nie przerywałabyś Jójmość, bo mnie to już nudzić zaczyna, mruknął urzędnik stajenny; ciotka ruszyła ramionami, a kuchenny historyk mówił dalej.

— Otóż ów stary rycerz dał mu tedy słowo, że jak po roku wróci, to mu da córkę za żonę. Ale on mu nie dowierzał, i nie wyjechał za granicę, ani nie wrócił do swego zamku, tylko się przebrał za chłopca i został w okolicy.

— A jakże, przerwała znowu mama, dostał

tych sukien chłopskich? cóż zrobił z koniem swoim i z rynsztunkiem?

— I toćto bardzo łatwo, odpowiedział urzędnik stajenny, zsiadł z konia, palnął go batem a ten wrócił sam do stajni, zdjął rynsztunek i suknie i utopił je w wodzie.

— No, a w czymże został? zapytała ciotka, kiedy zdjął rynsztunek i suknie?

— Albo ja wiem, rzekł na odwrót tenże jegomość — w koszuli albo i bez niej.

— Ej, co też znowu, odpowiedziała ciotka, ruszając ramiona i przebiegłszy nas wszystkich oczami, dla wyjawienia obrazy skromności którą wyraz jój twarzy miał wyrażać. Mamula zaczęła się śmiać serdecznie tak iż się ławka i z nią i z muzykantami ruszała, śmiał się głośno i chłopak, spuściła oczy panna, a urzędnik kuchenny tak dalej mówił.

— Jak bądź tak bądź; dosyć że ów młody rycerz przebrał się za pasterza, lub za innego zwyczajnie wieśniaka i ukrywał się w lesie, często podchodził pod zamek ojca swojej narzeczonej i dowiadywał się potajemnie co się w nim dzieje.

— A co to, to nie wiem jak mógł do skutku przyprowadzić, przerwała znowu ciotka. Nie mógł się przecież z nikim z zamku widzieć, w obawie aby go nie poznano.

— I, kiedy mię waćpaństwo tak będziecie przerywać, to ja nigdy nie skończę. Jak się dowiadywał? zwyczajnie przez swoich ludzi albo

przez służących przekupionych tamtego starego rycerza; dość że wiedział wszystko co się działo w zamku. Ledwo że kilka miesięcy minęło, aż tu zajechał znajomy starego rycerza, pan wielki z Austryackiego dworu na nocleg, przejeżdżając w podróży do jakiegoś króla, do którego jechał w poselstwie i zaraz pierwszego wieczora

— Aj, aj, a to co? cóżto jest? Mocne uderzenie statku nie tylko że przerwało powieść, ale nadto przestachu i zamieszania stało się przyczyną. Szynka spadając ze stosu wiktuałów uderzyła w głowę urzędnika kuchennego, a z niej w basetłę śpiącego muzykanta, ten przebudzony i przelęknięty niespodziewanym jej odgłosem wypuścił ją z rąk tak iż upadając trafiła prosto w nos biedną ciotkę, która z wrzaskiem rzuciła się na sąsiada i wytrąciła mu lulkę z gęby; ten chcąc ją złapać sięgnął niespodzianie ręką i zamiast lulki uchwycił mocno za fartuch spokojnej sąsiadki swojej: chłopak, mój sąsiad, który się właśnie bujał na nodze matki, upadł wznak gdy mamula trącona od sąsiada ręce jego puściła. Ztąd powstała najdziwniejsza mieszanina wykrzykników; ach, aj, ach Herr Jezus, Kotz schwer-noth, i lamentów synalka, mamy i ciotki. Najbliższy drzwi wypadłem za nie aby się dowiedzieć co się stało, i spostrzegłem, iż sternicy dobili do lądu nieco zanadto nagle i już byli powysiadali, aby odpocząć w karczmie i posilić się do dalszej podróży.

Porwali się wszyscy podróżni i wybiegli na

pokład a ztamtąd na stały ład, urzędnicy, kuchenny i stajenny, za przewoźnikami do karczmy aby ich strofować za nieuważne przybicie do ładu, mamula dla ułatwienia koniecznych kochanego synalka interesów, ciotka przez ciekawość, a muzykanci dla dopiętego już celu podróży swojej. Ja tylko sam zostałem z panienką w kajucie, i nie wybiegłem za drugimi, chociaż się przez to wystawiałem na utratę reszty powieści tylekroć przerywanej, którą przy śniadaniu w karczmie dokończyć można było. Ale mniejsza o powieść, ona zapewne nie tyle warta, co przyjemne towarzystwo w którym pozostałem.

Panienska chciała wyjść przede drzwi kajuty, ale deszcz rześisty, który się na nowo opuścił, sprzeciwił się zamiarowi i przymusił nas nawet zamknąć drzwi, ażebyśmy nie zmokli, a co gorza, aby się wilgoć do wiktuałów nie dostała. No proszę coby też to matka i ojciec powiedzieli, gdyby w ten moment wiedzieli, że ich córka sama na sam zamknięta w małej izdebce z nieznajomym i z cudzoziemcem. A skądże ja wiem, czy my mamy jeszcze ojca i matkę? możemy już wyszli z pod opieki? Te wątpliwości potrzebowały rozstrzygnięcia. Ponowilem więc rozmowę rozpoczętą naturalnie od deszczu i na chwilę przez moje uwagi przerwana, zapytując się: dokąd panienska jechała, kto był jej ojciec? — Jechała do Pillnitz, jej ojciec był laufrem królewskim; i gdy mi to ze wszystkimi szczegółami opowiadała, gdym się z upodobaniem wpatrywał

w jój oczy, które to raz moich unikały to się z niemi spotykały, uczulem iż mi było mokro siedzieć, co pochodziło z falistego deszczu z okna na ławkę ściekającego. Nie mogłem tam pozostać, trzeba było szukać wygodniejszego miejsca, z tamtój strony deszcz nie bił w okno, na tamtój stronie była ławka sucha, nie naturalniejszego nad to, żem się przeniósł na drugą stronę i usiadł przy paniencie.

No proszę jednakże, coby też tu posądzeń i plotek z tego wyniknąć mogło, gdyby nas kto teraz spostrzegł tak blisko siebie siedzących, a jednakże to nastąpiło bardzo naturalnie i pomimo woli naszej.

Wiało nieznośnie nadtłuczoną szybką, skarżyła się na to moja sąsiadka i obawiała się flukcyi; jakże nie zapobiedz flukcyi? Zasłoniłem ją i siebie razem moim płaszczem i otulając musiałem naturalnie oprzeć prawe ramie o ścianę, a ponieważ długo ręki w górze trzymać nie mogłem, oparłem ją tedy na jój ramieniu. Coby też to złośliwa fama uwag nad nami czynić mogła! To położenie przymusza koniecznie zbliżyć głowy, jakże nie patrzeć jedno na drugie będąc tak blisko siebie? a jakże znowu patrząc na siebie nie rumienić się nawzajem; jakże . . . Otóżto tak się tworzy zaród plotek, prześladowań niewinności, złośliwych uwag, osławienia, a jednakże wszystko to było bardzo naturalnie i koniecznością przywiedzione, nie było żadnego złego zamiaru; grzeczność, ludzkość prawdziwa

powodowała każdym naszym postępkiem. A jednakże gdyby nas kto był przez okno widział?... Ale tak, kiedy statek na okół wodą obłany, więc bezpiecznie, nikt nie obgada i nie będzie złośliwych uwag czynił

Deszcz też ustał, można drzwi otworzyć, poco? ale bo już idą towarzysze podróży. Możeby mi się kto zapytał: czylim czekał na nich na jedném miejscu, czy zasłaniałem ciągle panienkę od flukcyi? albo czym wyszedł na pokład? a pocóż mam się z tego sprawiać, ztądby tylko same plotki urosły. Kto przybiegł najpierwszy do nas? ciotka; to bardzo naturalnie; stara panna, więc ciekawa. O jakże jój bystre oczko po naszych twarzach biega; i cóż z tego? ani ja, ani ona przed nią z postępków naszych sprawy zdawać nie mamy obowiązku.

Wkrótce zajęliśmy wszyscy dawne miejsca, jako ze wszech miar najdogodniejsze dla nas, bo ja zostając naprzeciwko panienki unikałem wszelkiego podejrzenia, zwłaszcza że mamula tak pięknie ławkę otarła. No, — rzekł urzędnik stajenny trzymając cybuch w zębach i krzesząc sobie ogień, — to podobno nie podlega żadnej wątpliwości, że ten wasz rycerz był wielki osioł.

— A to jak? — ozwał się urzędnik kuchenny obrażony tym przydomkiem jego rycerzowi nadanym.

— No, juścić gdyby nie był osłem, toby nie był próżno téj biednej dziewczyny zabijał.

— I cóż miał tedy czynić? zapytała ciotka.

— Co? oto uciec z nią na dobrym koniu, albo co lepij jeszcze, wsiąść sobie tak jak my dziś na statek i popłynąć w świat.

— Tak zapewne, rzekł urzędnik kuchenny, ale w tym razie by się też ów parów *der Mordgrund* nie nazywał.

— Tak, aleby on jój nie był zabił, dodała mamula.

Ciekawy końca powieści wdałem się w rozmowę i zapytałem się: Czy młody rycerz przez zazdrość o tego pana austriackiego zabił kochankę?

— Nie; odpowiedział urzędnik stajenny, zabił ją dla tego, jak już powiedziałem, że był osłem. Wystaw sobie pan, że gdy ojciec chciał wydać swoją córkę za pana austriackiego, to on wtedy wszedł wśród dnia do zamku, oświadczył pięknie wszystkim, kim był, porwał kochankę swoją, a narzeczoną pana owego austriackiego, jemu i ojcu z przed nosa, i uciekł z nią, ale dokąd? do owego parowu coś go pan widział przejeżdżając. Między temi skałami i drzewami żaden koń dobrze uciekać nie może; gdyby on był się obrócił bitą drogą ku Bautzen, toby pewno był w Bischofswerda, nimby ci byli zdążyli wybrać się za nim w pogoń. Ale on został w parowie, bo koń zapewne padł pod nim; ci też niedaleko mieli z zamku i pieszo za nim pobiegli, dogonili go i chcieli odebrać mu 'porwaną kochankę, a że on jój nie chciał oddać, więc ją

i siebie zabił. No proszę pana, nie byłoż to głupio?

— Tybyś był tak nie zrobił, to prawda, odparł urzędnik kuchenny.

— Ja? jabym sobie jednego włosa z głowy dla kobiety nie zerwał, a cóż dopiero żebym się miał zabijać.

Ruszyła ramionami ciotka i odsunęła się od niego, a sąsiadka z drugiej strony spojrziała na jego siwe włosy.

— Za pozwoleniem — ozwała się mamula — Mowiles waćpan, iż trzeba było temu rycerzowi obrócić się ku *Bischofswerda*, a mnie się zdaje, że wtenczas musiał trakt jeszcze iść na *Rothkretscham*, bo tamten dopiero kilka lat temu jak zrobiony.

— Czy tu, czy tam, to wszystko jedno, doś, że po bitéj drodze toby był uciekł, odpowiedział stajenny.

— Co wy też to oboje pleciecie o *Bischofswerda* i o *Rothkretscham*, rzekł kuchenny, wtedy ani jednego ani drugiego jeszcze nie było.

Tu się zaczęła bardzo mądra dyssertacya o dawności miast i zdarzenia tak długo opowiadanego, a ja wróciłem do mego miejsca na pokładzie patrzeć na to co mię otaczało.

ROZDZIAŁ VI.

Ach jak to ponemiecku!

Jak z niechcienia przybyłem do Pillnitz, tak też niechcący poniekąd obróciłem kroki moje na powrót ku stolicy. Same przyjemne wrażenia zajmowały myśl moją; widziałem był ojca ludu i rodziny zmawiającego z pokorą modlitwę przed zajęciem miejsca o stołu *), widziałem monarchę wśród przepychu dworu, zachowującego pobożny zwyczaj ubogich lepierek, i siedłem zamyślony nad brzegiem Elby czekać na odjazd statku, który mię tu przywiózł. Nieświadom drogi mi-
nałem go i spostrzegłem zapóźno, że podróż piesza zanadto daleko już posunięta, aby warto

*) Zwyczaj jest, iż podczas letniego pobytu monarchy w Pillnitz wolno jest każdemu pójść na galeryę sali ja-
dalnej dworu, podczas gdy familia królewska obiada.

było nazad się wracać. Szkoda doprawdy, byłbym się widział z moimi kolegami podróży, albo z nowymi gośćmi; nie spytałem się nawet córki laufra czyli dzisiaj wracać będzie, co za nieprzezorność. Ale to mię od wszelkiego oczyszcza zarzutu, bo ta oziębłość dowodzi, że panna mię bynajmniej nie zajęła, że.... i nie będę się wdawał w dowody, bo te rzadko kiedy są takie aby każdego przekonywały, aby jakiej słabiej strony nie miały.

Ale otóż i pojazd jakiś stoi: wracająca ze spaceru familia, która czeka na przewóz; czemużbym i ja zaczekać i przewieźć się nie miał. Ukłoniłem się wszystkim grzecznie, i gdy nie znalazłem nikogo skorego do zrobienia znajomości, usiadłem na murawie, aby odpocząć i przypatrzeć się przynajmniej moim sąsiadom.

Byłto mężczyzna około czterdziestoletni, małżonka ile się zdaje lat kilka młodsza, córka może szesnastoletnia i mało co młodszy brat. To widzę są dosyć bogaci ludzie, pojazd porządny, sami okazują w mowie wyższy polor, szkoda że zemną mówić nie chcieli, ledwo że się odклонili: czy to duma? a jeżeli tak, to mniejsza o wasze towarzystwo. Ale nie, są oni wszyscy tak zajęci jakimś przedmiotem, że wszystko obce jest dla nich obojętném. Tak sobie wnioskując przysłuchałem się ich rozmowie.

Córka. Ach ojeze jakże ci wdzięczną jestem za spacer dzisiejszy, nigdy podobno tak wzniosłem uczuciem przejętą nie była jak dzisiaj, gdy

z wierzchołka téj góry poglądała na te obfite niwy, na te sterczące w oddaleniu skały, na pełne nadziei i pociechy winnice, zasmucające posępną dzikością swoją wąwozy. Ach! jakże mocno bije serce za natchnieniem pięknej natury.

Syn. Mnie ciągle *Ideale* Szyllera były na pamięci, ten wiersz szczególnie, siostró:

Es fühlte selbst das Seelenlose
Von meines Lebens Wiederhall.

Matka. Jak mię to cieszy, kochane dzieci, że umiecie cenić piękności przyrodzenia, że one do waszego uczucia przemawiają. Ach, kochany Ludwiku, jakże mi ta żywość ich uczucia, ta świeżość ich wyobraźni, szczęśliwe chwile naszej młodości przypomina, te chwile pierwszego poznania i pierwszej miłości.

Na te wyrazy z czułością wyrzeczone obróciłem się ku małżonkom i ujrzałem żonę z opartą głową na ramieniu męża ściskającą mu serdecznie rękę, on zaś poglądał z uczuciem na nią i dzielił jęj wzruszenie, syn całował drugą rękę ojca, a córka poglądając z uniesieniem na rodziców schwyła matkę za rękę.

Ach jak to ponemiecku! mruknąłem sobie wstając i oddaliłem się od nich, przejęty mimowolnie pewną niechęcią i zarazem obawą stania się natrętnym. Ale skądże ta moja niechęć? Cóż tu nagannego lub śmiesznego? Dla czegoż ten wykrzyknik: Ach, jak to ponemiecku! Podobno gdybym się szczerze parachował z sumieniem, toby się okazało, że zazdrość prze-

zemnie mówiła. Ale i to pewna: że gdybym połowę Polski tutaj sprowadził, toby wszyscy jednomyślnie toż samo powtórzyli. Dla czegożby nam się to podobać nie miało? Czyliżto u nas wzniosłe uczucia mniej są upowszechnione? Czy piękności przyrodzenia nie czynią takiego wrażenia na naszych umysłach? Nie umiem odpowiedzieć na to zapytanie; ale wiem że to jest po niemiecku i dość na tém.

Przewóz przybył, dostałem się na drugą stronę; czuła familia wsiadła do pojazdu i odjechała; a ja się na nowo rozwiązaniem zagadnienia mego zająłem i szedłem dalej ku miastu. Postępowałem długo zatopiony w myślach i poniekąd samotny na drodze, po której wielu obojętnych dla siebie spotykałem, gdy przy zejściu się dwóch dróg turkot pojazdów i zgłęk piechotnych przerwał moje dumania. Dokąd idą ci ludzie? dokąd spieszą te pojazdy? musi tam być jakie widowisko, które ciekawych zwabia; pójdę i ja za nimi; wszakżeto nie pierwszy raz mi się zdarza, że dla tego tylko odwracam kroki od zamierzonej drogi, iż wielu w inną stronę idących spostrzegam.

Ogród, pełno w nim ludzi, wszędzie wejść wolno; muzyka gra w oddaleniu; tam też największy zgłęk ludzi; spieszymy, co to być może? Zapewne mniej więcej zręczny skoczek nadużywa siły i zręczności swojej, aby nakładem własnego zdrowia ciekawych zabawił a sobie dochód zapewnił; może balon poniesie żeglarza obojętnego

na to co się w powietrzu dzieje, pomiędzy obłoki, może... ale zobaczymy... Rozwiązałem woreczek chcąc płacić za wolność wejścia; nadstawiają karbonę: „proszę dla ubogich“ dałem i wszedłem; a to rzecz osobliwsza, kunstmistrze którzy tu publiczność zwabiają, nie o sobie, lecz tylko o ubogich myślą: co za pomiłowanie ludzkości... Ale bo też nie masz żadnych skoczków, żeglarzy, ani kunstmistrzów. Dostyc liczna orkiestra gra piękne dzieła muzyczne i cała tłocząca się publiczność jój grania słucha. I nie więcej? a nie.

Gdybyto przynajmniej było pospółstwo, toby się temu dziwić nie można, ale to ludzie do wyższego towarzystwa należący, i to pomieszani bez żadnego odznaczenia z innymi różnych stanów. Niezliczone stoliki i stolki porozstawiane między drzewami a wszystkie zajęte; co tu kuflów piwa, gdzie nigdzie tylko kawa lub herbata; wszyscy mężczyźni z lulkami, wszystkie niemal kobiety robieniem pończoszki zajęte; *ach jak to poniemiecku!*

Bo proszę uniżenie, czy też można dla lada jakiej muzyki przyjechać umyślnie z miasta, nagromadzić się w takim tłoku w to miejsce i siedzieć godzin parę przy butelce piwa? Muzyka coś gra bardzo dobrze... Tak, ale to nie mogą być artyści znamienici, bo czyż można przypuścić, aby artysta nieco talentu posiadający mógł przyjść grać tutaj pod gołym niebem dla całego świata, w nadziei szczednej nagrody, która od woli każdego zależy? — Ale kiedy wszyscy dobrze grają

i muzyka zachwycająca... tak, ale na to trzeba być Niemcem, żeby nie zapowiedziawszy koncertu i dla nie wiedzieć kogo grać nie ledwie że w szynkowni.

Tak, zapewne że w szynkowni; bo oto piwo wnoszą kosztami z tego domu i nikt się go pić nie wstydzi. Nie wstydzi? a dla czegożby się miał kto wstydzić piwa? wszakże to i nasz narodowy trunek; więc pijmy: dobre i koi pragnienie. A jednak gdybym był w Warszawie, tobym podobno za żadne pieniądze piwa w ogrodzie publicznym nie pił: ale dlaczego? a, to ja bym też chciał wiedzieć. Piwo mieściło się dawniej u nas na gościnnym stole, nie kiedy bez wstydu i beczka w pokoju się znajdowała, a teraz pod tym tylko warunkiem obok zagranicznych braci mieścić się może, że jakie obce przybierze nazwisko, że jałowiec lub lukrecya jego powierzchowną postać zmieni. [Dawniej podano gościowi szklankę piwa, dzisiaj ją ledwo furmanom ofiarują; chińskie liście wyгнаły z przy-sionków naszych jęczmień polski; a samo nawet wspomnienie piwa pewne obrzydzenie wzbudza.] Tutaj wszyscy i wszędzie piją piwo, ale jak też to brzydko!!

A do tego jeszcze palą tytuń i to między damami, a pfe! kto słyszał, i każdy niemal do-bywa albo pudełka z cygarami albo lulki, i nawet nie nie dadzą zarobić tym ludziom co tu traktyernią utrzymują. I my prawda palimy lulki, ale nasz tytuń najprzód nazywa się tureckim, po-

tém palimy z długich cybuchów, i to z pięknymi i kosztownymi bursztynami na końcu, a to jeszcze z taką gracyą, że choć czasem przez dzień cały lulka z ust nie wyjdzie, to wcale nie jest rażącym, ani tak ponemiecku, jak te rogowe krótkie i giętkie cybuchy, te porcelanowe lulki: a pfe, to wcale co innego!

— I cóż też to za nudna rzecz ta jednostajność! u wszystkich kobiet w rękach druty i kłębki w woreczku; co to za niezgrabną postawę damie nadaje, jakto te palce grubieją od nitki, która się ustawicznie po nich uwija; już też tego to wcale u nas nie masz, i robienie pończochy raz na zawsze wypędzone nie tylko z zamowniejszych domów, ale i z tych nawet gdzie nieraz boso chodzą dla tego, że pończoch za co kupić nie ma. Ale za to jest czas wolny, można oczy bez przerwy zajmować sąsiadkami i sąsiadami, można u jednych przygany u drugich wdzięków szukać: a czas i przyjemniej i prędzej schodzi.

Ale się tu wszyscy dobrze a przy tém oszczędnie bawią, jest wiadome miejsce powszechnej schadzki i każdy przychodzi w nadziei, że się spotka z tym co go widzieć pragnie. Po pracy w chwilach odpoczynku nie potrzebuje tu każdy przeziwać kilka taktów, nim się namysli w którą stronę ma swoje kroki obrócić; nie umęczy się szukając ludzi rozpierzchnionych po wszystkich częściach i okolicach miasta, w którym mieszka. Kto czuje potrzebę obcowania między

ludźmi, pomówienia ze znajomymi, udzielania sobie nawzajem spostrzeżeń i wiadomości, ten ma tutaj wiadome miejsce zejścia się ludzi, może obcować z nimi bez poddania się niewolniczym przepisom etykiety, może przyjść pomiędzy wszystkich bez obawy, czy się to zgadza będzie z przywilejami kasty do której należy.

Tak, ale za to, co to za pospolita i gminna zabawa; każdy może być jej uczestnikiem, trzeba się pospolitować nie wiedzieć w jakim towarzystwie, trzeba zniknąć w natłoku; nikt na nas nie uważa, niczem się od wszystkich rozróżnić nie można, a co najgorsza, ten który piechotą przyszedł, gotów zasiąść obok tego, który najprzepyszniejszym pojazdem przyjechał. Jestto niemądra przyjemność jechać na spacer i dać widzieć ludziom pojazd, konie i liberyą; odosobnić się od wszystkich, aby na niektórych uczynić wrażenie; bywać tam gdzie piechotny sąsiad dojść nie może; używać przechadzki wtenczas kiedy ludzie zwyczajni jedzą albo pracują, i unikać wszelkich tych miejsc, gdzie to wszyscy być mogą.

Tak sobie myślałem i chodziłem pomiędzy ludźmi z zapaloną lulką, wypilem kufel piwa, unosiłem się nad muzyką, miałem cały czas twarz wypogodzoną, byłem kontent sam nie wiem z czego. *Ach jak to poniemiecku!*

ROZDZIAŁ VII.

Cytacya.

— Pawle, Pawle! zawołałem po kilka razy, obudziwszy się przeciwko zwyczajowi memu dopiero około dziesiątej z rana; tak dalece podróż wczorajsza skutkowała na mnie. I wołam, i wołam, a on nie przychodzi, a ja się właśnie gniewam na siebie samego że m zaspał, że m czas tak piękny w łóżku przeleżał: i oto za godzinę potrzeba będzie wyjechać na umówiony spacer do Freyberga obejrzyć kopalnie, a ja jeszcze nie wstałem. Pawle!... Porwałem się z łóżka, pobiegłem do drzwi w koszuli chcąc zawołać na korytarzu; biorę za klamkę, ktoś ją już z tamtej strony trzyma, otwiera i spojrział na mnie: *Verzeihen Sie*, powiedział i wchodzi. A ja nie w em co z sobą zrobić; kiedy przepraszasz to wyjdź za drzwi, pomyślałem sobie patrząc na poważną

długą figurę w mundurze, w rogatym kapeluszu i przy pałaszu na bandolierze. Czy tutaj mieszka Pan....? zapytał kalecząc nieznośnie moje nazwisko.

— Tutaj, odpowiedziałem zdziwiony tą wizytą jegomości, który na policyanta zakrawał.

— Przepraszam bardzo, rzekł dalej, że Pana tak rano inkommoduję, i że wchodzę niemeldowany, ale mam tutaj małą cytacyą do Pana, abys dzisiaj na godzinę jedenastą stanął na ratuszu, oto jest: przepraszam bardzo, kłaniam uniznienie — i wyszedł.

A ja mu się także machinalnie odkloniłem, zdumiony zupełnie wizytą i cytacyą, i stoję na środku pokoju, czytam raz i drugi; tak jest, ja nie kto inny mam stanąć na ratuszu. Ja? za co? może ta przekłeta ciotka. — Ale gdzie tam, cóż to znowu, przecieżby.... Może dla tego żem na dzień cały bez zameldowania opuścił miasto; i to nie; ale Paweł gdzie siedzi, trzeba się ubrać i pójść na ratusz. Pawle, Pawle! i krzyczę, i biegam w koszuli, naostatek w niecierpliwości złapałem za sznurek od dzwonka i zadzwoniłem trzy razy; w tém otwierają się drzwi, wpada dziewczyna służąca! *Ach Herr Jesus!* krzyknęła i przymknęła drzwi szeroko otworzone zestraszona moim nieubiozem, ale trzyma za klamkę drzwi przymkniętych i pyta się, czego żądam?

— Zbliżyłem się do drzwi i z mojej strony wzięwszy za klamkę zacząłem rozmowę przez szparę, która nas przegradzała.

— Ja potrzebuję mego lokaja albo markiera, rzekłem zaglądając jój w oczy przez szparę.

— A pocóż Pan trzy razy dzwoniłeś?

— Jakto? albożto nie wszystko jedno wiele razy się dzwoni?

— Na stróża dzwoni się raz, na markiera dwa razy, a na dziewczynę trzy razy.

— Doprawdy?

— A wszakże Pan to masz wyraźnie napisane na blasze przybitój przy dzwonku.

— A ja tego nie uważałem. Kiedy tak, to Pannę przepraszam.

— *Hat nichts zu sagen*, odpowiedziała, odeszła, obejrzała się raz jeszcze z uśmiechem na moją głowę, w uchylonych drzwiach jak za ramkami osadzoną, i przyrzekła że mego Pawła poszuka.

— Otóż znowu straciłem niepotrzebnie kwadrans czasu, a tu o jednej godzinie i cytacya na ratusz i podróż do Freyberga: ale kiedy bo niespodziewana wizyta panienki, którą przyjąłem... ale jak!... pocóż było dzwonić trzy razy, czemu nie czytać co napisane, zwłaszcza tutaj gdzie wszystko tak regularnie i według przepisu.... Teraz będę pamiętał: trzy razy zadzwonić, to przyjdzie dziewczyna; co za cudny dzwonek, gdyby to można wybór czynić i dzwonić, jakby to pięknie było!

— Ale ona nie przychodzi, a mnie pilno. Ubrałem się do połowy i poszedłem do dzwonka,

zadzwoń ilem dwa razy na markiera w nadziei, że mi ten wiadomość o moim Pawle przyniesie.

— Cóż to znowu za hałas u moich drzwi? podobno się kłóca, kto wéjdzie.... otwieram; stoi i markier i dziewczyna.

Markier. Czego ty tu biegniesz, kiedy tylko dwa razy dzwoniło..

Dziewczyna. A co tobie do tego!

Mar. Co? czekaj, dam ja ci biegać po stacyach kiedy na ciebie nie dzwoniło.

Dzie. A jeżeli wprzód dzwoniło na mnie jak na ciebie.

Mar. Wprzód — i spojrział się na mnie i na nią.

Dzie. A jeżeli mi dano zlecenie abym powróciła dać wiadomość o lokaju, to nie moja wina, że ktoś niecierpliwym i nie ufajac mi znowu dzwoni, i to jeszcze dwa razy tylko — rzekła, spojrziała się na mnie z wyrazem żalu i odeszła. Miałem wyrzuty sumienia; ta dziewczyna ma słuszną przyczynę gniewu, a ja jestem niegrzecznym, niedelikatnym, niewdzięcznym człowiekiem.

— Gdzież jest mój lokaj? zapytałem markiera.

— Nie masz go w oberży, jak wyszedł jeszcze przed szóstą to dotąd nie wrócił.

— A jaki ladaco, co za hultaj, wiedział dobrze, że dzisiaj mam jechać do Freyberga i oto poszedł na spacer; a ja na próżno gadam do tego człowieka, który nic nie winien, który mi się do niczego nie przyda, bobym go chyba uczyć mu-

siał jak mię ma ubierać. Możesz iść sobie kochanku, ja tylko mego lokaja potrzebuję.

A mój Boże, już w pół do jedenastój, a ja jeszcze tyle rzeczy ułatwić muszę przed tą godziną o której mam wyjeżdżać: tak, wyjeżdżać, jeżeli mię puszczą; może ja się do kozy dostanę, ale za co? albo wiem? A gdybym też przypadkiem miał dostać bezpłatne mieszkanie w ratuszu lub jakim innym domu, do którego nikt z dobrej woli nie zajeżdża, cóżbym sobie dał za radę, ja który tutaj nikogo nie znam. Ale gdzie zaś, mam zupełnie czyste sumienie: tak, ale na wszelki przypadek wezmę pieniędzy z sobą; a coby to za nudy były siedzieć choćby dni kilka w zamknięciu, wezmę ołówek i papier, będę mógł pisać i rysować; i książkę jaką trzebaby wziąć do kieszeni na wszelki przypadek.

A bogdajże cię лихо porwało, otóż w prędkości spiesząc się włożyłem but z lewój nogi na prawą, z taką pracą go wciągnąłem i oto zdjąć go trzeba: ach cóż też to za uprzykrzenie, co za głupia moda z temi butami na jedną nogę zrobionemi: nie, nie zdejmę go, trzeba kogo do pomocy. Masz tobie, znowu trzy razy zadzwoniłem, a cóż mi po dziewczynie kiedy mi but ciasny z nogi zdjąć trzeba. Otóż masz, już przyszła.

— Przepraszam cię moja panienko, ja znowu niechcący trzy razy zadzwoniłem.

— Hat nichts zu sagen.

— Tak, ale mię but zdjąć trzeba, a ty tego nie potrafisz. Uśmiechnęła się dziewczyna, za-

ręczyła, że mi pomoże, wysunęła z pod łóżka drewnianego chłopca, przycisnęła nogą koniec mego buta i oto zszedł z nogi. „Jakaś zręczna, ja nie myślałem abyś mi mogła pomódz... dziękuję ci“ rzekłem i uściskałem ją na prędce, przechodząc po inny but; i w ten moment nawinęła mi się myśl, że to jednak szkoda, iż mam cytacyą i podróż tak pilną przed sobą. I cóż robić? już but włożony, z resztą już jestem zupełnie gotów. Trzy kwadransy na jedenastą, a ja nieszczęśliwy! ta przekłeta cytacya, ta podróż nie w porę, a ona stoi na środku pokoju i tak się ładnie uśmiecha; „oto masz na szpilki za twoją fatygę, uprzątnij tu proszę cię w pokoju, muszę spiesźnie odejść.“ Przyjęła obojętnie, stoi i patrzy na mnie; a ja nieszczęśliwy! ta przekłeta cytacya!

To jednak rzecz ciekawa, po co tam jestem powołany, ja niewinny baranek. Przebiegłem kilka ulic niepotrzebnie, nie spytawszy się o drogę w opaczoną stronę poszedłem. A przecież: wchodzę; pokazuję cytacyą pierwszemu skrybentowi, który przy drzwiach siedział: to nie do mnie, niech Pan idzie dalej — idę — między stosami akt siedzi stara figura w peruce, podaje pokornie cytacyą. — Czy Waśc nie wiesz gdzie jest wydział policyi poprawczej? rzekł urzędnik patrząc na mnie od stóp do głów i rzucił mi cytacyą, którą podjąwszy pokornie wróciłem się nazad upatrując miłosiernej duszy, któraby mi drogę do policyi poprawczej wskazała.

„Hey! a gdzie tam idziesz“ zawołał na mnie żołnierz na warcie stojący „tu niewolno“ spojrzę na napis: *więzienie policyjne*; aż mię dreszcz przeszedł. Bogdaj mi nigdy wolno nie było tutaj wchodzić, pomyślałem sobie; a kto wie, może się za kwandrans te drzwi dla mnie otworzą. — Gdzież jest biuro policyi poprawczej? zapytałem pokornie żołnierza. Nie wiem, będziesz się mógł na górze dowiedzieć. — A ja dopiero co z góry zeszedłem.

Na to nie ma sposobu, jedenasta bije, ja się jeszcze kręcę. Trzeba sięgnąć do kieszeni po przewodnika, dałem kilka groszy i grzeczny Niemczyk pobiegł przedemną, wszędzie mi drzwi otwierał i nakoniec stawił mię przed kratkami policyi poprawczej. Stało tam kilku kolegów, którzy podobne do mojej cytacye w rękę mieli; co ją który okazał, otrzymał w zamian paszport, który miał mu ułatwić wejście do owych drzwi fatalnych na dole. Oto i piękna panienska idzie za drugiemu; a mój Boże, cóż się to zemną stanie!

Przyszła i na mnie kolój, oddaję drżący moją cytacyą najbliżej kraty siedzącemu; ten przejrzawszy ją wstał przeciwko zwyczajowi, podał ją z pewnym wyrazem ważność rzeczy oznaczającym drugiemu i nie usiadł, tylko się patrzy na mnie, ten drugi toż samo z większym jeszcze pośpiechem czyni, oddając kartkę prezydującemu: i ten wstaje także: a ja nieszczęśliwy! jakimże ja to ważnym winowajcą być muszę, kiedy tak

wszyscy wstają i jakimś ucieśnieniem posiadania mię są przejęci. Prezydujący idzie ku mnie, otwiera drzwi kraty i prosi mię grzecznie, abym wszedł pomiędzy nich. Tak, znam się na tych farbowanych lisach, czy grzecznie czy niegrzecznie dość że za kratę iść trzeba.

— Przebacz Pan, Mości Hrabio, rzekł prezydujący, żeśmy go tutaj powołali.

— A muszę przebaczyć, pomyślałem sobie; hrabia, nie wiedzieć skąd, wołałbym być żebrakiem, jak w policyi poprawczej hrabią.

— Ale to nie nasza wina (rzekł dalej), w tém Pan Hrabia tylko własnego służącego winić powinieneś.

— Co? mego służącego? a cóż on to powiedział? No proszę, ten hultaj zapewne poplótł jakie głupstwa na mnie.

— Ha! gdyby on tylko był gadał, toby mniejsza o to, ale on się dopuścił czynów karygodnych.

— Jakto, w mojem imieniu? a ja o tém nie wiem.

— I nie, bynajmniej, on na własny rachunek nabroił.

— Ochłonałem; ja, widzę, bezpieczny, ale mój głupi Paweł oczywiście siedzi.

— Proszę Pana Hrabiego, czy służący pański nie ma czasem ataków waryacyi!

— Chciałem powiedzieć: Nie, ale mi na myśl przyszło, że go to może uratuje i rzekłem: Tak, w samėj istocie że czasem jest bardzo głupi.

— To być musi, bo nie pojmuję, dla czego by on się miał dopuścić bić ludzi, których nie zna i bez żadnej przyczyny; a jednak to uskutečnił. Nie mogliśmy go przesłuchać dotąd, bo nie umie i słowa poniemiecku i dla téj przyczyny byliśmy przymuszeni przywołać tutaj Pana Hrabiego.

Przywołano strony: weszło dwóch rzemieślników, a za nimi wprowadzono Pawła, który bynajmniej miny nie tracił. Pokrzywdzeni zeznali, iż będąc sąsiadami, pokłócili się o to, iż pies jednego pogryzł kota do drugiego należącego, i gdy najzwawsza między nimi o to zachodziła kłótnia, człowiek jakiś nieznamy wpadł pomiędzy nich, wyrwał jednemu kij który w ręku trzymał i obudwóch nim po kolei pobił.

— Wszakże Pan Hrabia z tego się przekonywa, rzekł do mnie przydujący— że Jego służący musi być niespełna rozum!

— Zdziwiony zapytałem Pawła: czy się upił, czy zmysły stracił, wdając się między dwie osoby zupełnie jemu obce, które się z sobą a nie z nim kłóciły.

— Nie, ja dziś i kieliszka wódki nie piłem — odpowiedział— ale i Pan by był to zrobił co ja, gdyby pan był patrzył na tych dwóch Niemców. Widząc, że Panu się dzisiaj z rana na długie spanie zabierało, wyszedłem trochę na miasto, w tém spostrzegam przed dwoma domami dwie kupy dzieci i kobiet, a między niemi tych dwóch błaznów, którzy się z sobą kłócili: jeden

drugiemu wymyślał od ostatnich, pluli sobie w oczy, przyskakiwali do siebie, oba mieli kije w rękę, a żaden z nich ani go nawet nie podniósł. To mnie zniecierpliwilo, nie mogłem dłużej patrzeć na tych głupców, którzy mając kije w rękę nie wiedzieli co z nimi robić; przyskoczyłem do jednego, wyrwałem mu kij, dałem mu raz po plecach aż odskoczył, palnąłem potem drugiego, który mi nie oddał chociaż miał kij w rękę; powstał krzyk kobiet i dzieci, mieli mnie za szalonego, przyszła policya i przyprowadzili mię tutaj, za co? za to, że ich rozumu nauczył i że ich pogodził.

Nie mogłem utrzymać się od śmiechu podczas powieści Pawła, która zarówno cały sąd rozśmieszyła, gdym ją wytłumaczył. — Skończyło się na zapłaceniu kosztów tego krótkiego procesu i wynagrodzeniu, którego się pogodzeni sąsiedzi za otrzymane razy domagali. A ja wróciłem z oswobodzonym Pawłem do domu, radząc mu ażeby się nigdy za medyatora nie obierał.

ROZDZIAŁ VIII.

Podróż podziemna.

Dwunasta godzina była gdym wchodził do mego mieszkania z przekonaniem, iż towarzysze umówionej podróży do Freyberga, nie mogąc się mnie doczekać już odjechali. Ale nie, wspólnym nakładem najęta landkutsza stoi w dziedzińcu, a oto i towarzysze podróży już na wschodach. Pawle, biegaj po płaszcz i przynieś go tutaj co prędzej — zawolałem; zdjąłem kapelusz i kłaniając się damom, z którymi à table d' hôte znajomość zrobiłem i projekt podróży ułożyłem, przeprosiłem za opóźnienie się moje.

— Dobrze żeś Pan nadszedł, rzekł jakiś grubo płaski amabilis — bośmy już mieli do pojazdu siadać.

— To jest nasz kuzyn, rzekła do mnie Pani Baronowa, czterdziestokilko-letnia wdowa ze

Szląska, która dla rozrywki podróż do Drezna i okolic przedsięwzięła.

— Il est bien cauche, n'est-ce pas, Monsier, dodała corunia wysmukła z uśmiechem, który pewien niczem pokryć się nie dający deficyt pomiędzy zębami wykazał, i odstąpiła na bok, aby mi Pana Oberamtmana w całej okazałości przedstawić. Jaki przedni i przyjacielski, ścisnął mię za rękę aż stawy zatrzeszczały i ściągnął nogi do kupy, ażebym usłyszał że ma ostrogi u butów; niski, gruby, około pięćdziesiąt lat wieku mający, dobrze wypielegnowany mężczyzna. Twarz okrągła, na wierzchu policzków fioletowo-czerwona i drobnymi niebieskimi żyłkami szamerozana; nos okrągłutki i pulchniutki, oczy małe, usta zbyt szeroko podwójnym rzędem czarnych powyszczerbianych ząbków wysadzane, włosy dosyć długie w górę i w tył zaczesane, czapeczka nakształt mojej z Oleśnicy, frak granatowy z żółtymi guzikami wysoko nad brzuchem na jeden guzik spięty, aby się żabot nie gniótł, żółte skórzane spodnie krótkie, bóty węgierskie i ostrogi srebrne. Na to wszystko pudermantel z niewarowego płótna.

Po przywitaniu woła na landkutschera, który po kwadransie przygotowania zajeżdża przecież z landarą swoją. Podaję rękę damom, panna mi się nieustannie dyga i lekkim ściśnieniem ręki za grzeczność dziękuje, wpycham oberamtmana, który, z parasolem pod jedną a z pieczenią ciejącą pod drugą pachą, uwiązał we drzwiach poja-

zdu, wsiadam sam nakoniec i oto jestem już na drodze do krajów podziemnych.

Tak, do krajów podziemnych jedziemy, rzekłem do towarzyszek podróży, skoro tylko turkot ulic głuszyć nas przestał — i ja, który nigdy jeszcze pod ziemią nie byłem, niezmiernie ciekawy jestem jak też tam wygląda.

Baronowa. No, to i ja się przyznać muszę, że jeszcze nigdy podziemniej podróży nie odbywałam; i dlatego też szczególnie w te strony przybyłam, aby zadosyć uczynić dręczącej mnie ciekawości. Zostanie mi potem jedno jeszcze do widzenia, to jest morze, i muszę je widzieć przed śmiercią, bo bym spokojnie umrzeć nie mogła.

Oberamtmann. I, moja Pani, choćbyś też i morza widzieć nie miała, to dla tego popłyniesz sobie szczęśliwie do kraju wieczności i nie będziesz potem pokutować, choć ciekawości swojej nie zaspokoisz.

Córka. Więc Pan wcale nie jesteś ciekaw widzieć morza, ani może nawet kopalni, a pocóż jedziesz z nami?

Oberamtmann. Po co? albo ja wiem? chciałyście żebym z wami jechał i oto jadę, a z resztą, nie myślałem nigdy abyśmy mieli pod ziemię pojechać; rozumiałem, że sobie obejrzymy zakłady i maszyny na powierzchni ziemi: ciekaw jestem widzieć srebro, które w Frejburgu kopią, jak one też wygląda nim się talarkiem stanie,

bo mnie widok tego kruszcza zawsze rozwesela; ale na tém koniec.

Ja. O nie, Panie, skoro z nami jesteś, musisz odbyć podróż podziemną, boby to było zupełnie niegrzecznie, gdybyś nas miał opuścić; dwie damy dwóch kawalerów potrzebują, a zatém żadna panu wymówka nie służy.

Córka. C'est très . . . galant Monsier, i uśmiechnęła się kłaniając mi się głową; cóż z tego, kiedy nie masz trzech zębów po sobie idących.

Baronowa. Bardzo dobrze Pan mówisz . . . ja nie popuszczę amtmana, on musi mi dać rękę.

Oberamtman. Myślałby kto, że po ogrodzie spacerować będziemy; a jeżeli mi Pani zaręczasz, że my bardzo wygodnie parami spacer podziemny odbędziemy, to się bynajmniej wymawiać nie będę, ale . . .

Ja. A, tego pan spodziewać się i żądać nie możesz, oczywiście iż droga do krajów podziemnych nie jest tak szeroka jak ten trakt, ale za to, coto tam ciekawości widzieć można. Czytałem tego roku wnioski, które pewien uczony Amerykanin nad tém czyni, co się we środku ziemi znajdować może i te mnie wielce do każdej podziemnej podróży zachęciły.

Baronowa i córka (razem). Ach opowiedz nam to Pan, prosimy go bardzo.

Ja. Ten uczony Amerykanin stara się dowieść przez rachuby i wnioskowania, iż środek ziemi jest zaludniony i że tam nowy jakiś świat się mieści, i tak dalece jest pewnym swoich do-

mniemań, że z sobą na podróż do tego jądrowego kraju zaprasza.

— *Curios*, rzekł Pan Oberamtman wlepiając we mnie oczy.

— *Das wäre!* dodała Pani Baronowa.

— *C'est surprenant*, skończyła *corunia*.

Ja. A kto wie co się jeszcze stanie? jak nam się dzisiaj podróż podziemna bardzo spodoba, to się może namyślimy na to, aby z tym Amerykaninem większą przedsięwziąć: on chce stu ludzi na towarzyszków dla siebie i lubo po całej prawie ziemi wezwania swoje porozsyłał, rozumiem że się jeszcze dla nas miejsce znajdzie. Wystawcie sobie państwo jakby to było pięknie, gdybyśmy tak razem do innego świata zajechali; jakby nas tam dobrze przyjęto, gdybyśmy się z Europy meldowali, i cobyśmy to za znakomitemi figurami między temi śródziemnymi ludźmi byli.

Oberamtman. No, wiecie co moje państwo, mnie się zdaje, że ten któremu się o ludziach we środku ziemi marzy, poprostu zwaryować musiał: na ryby i żaby, to pozwalał, boć przecież gdziekolwiek kopieemy, zawsze na wodę natrafiamy, ja ją nawet mam w mojej piwnicy, a cóż dopiéro w głębi ziemi; a choćby też atmosfera tych krain nie tylko z wody ale z piwa się składała, tobym przecież wśród niej żyć nie mógł.

Córka. Ach Pan to tak materyalnie, tak poprostu uważasz, że ci nawet odpowiadać tru-

dno: pomnijże tylko, jakto jeszcze daleko 'od twojej piwnicy do środka ziemi i co się w tak wielkiej przestrzeni dzieć może.

Baronowa. Zapewne, któż nam zaręczyć może, czy się tam inna mniejsza kula ziemiska w przestworze wydrążenia znanój nam ziemi nie znajdzie.

Ob. Amt. Może taka jak te kulki małe w wydrążonych kulach ze słoniowej kości, któreśmy wczoraj w Grüne Gewölbe widzieli.

Córka. Il est insupportable.

Ja. Jakto tam jest? tego przewidzieć nie można, ale by to jednak ciekawą było rzeczą dowiedzieć się o tém. Za zdaniem autora tój wielkiej myśli musi gdzieś być koło biegunów wielki otwór, którym się do tego nowego świata spuścić można.

Oberamt. Koschamerdiener... to ja do tój podróży należeć nie chcę; piękna rzecz wypaść jak z okna w dachu na jakąś ziemię, a choćby ona i z samych piernatów była, tobym na nią spaść nie chciał: ja tylko raz za młodu z fury siana spadłem, a wiem jak to boli.

Ja. Tak, ale to wcale co innego; spuszcza-
jąc się otworem do środka ziemi, wpadlibyśmy w inną wcale atmosferę, gdzieby nasza ciężkość gatunkowa wcale była inna, a tambyśmy zapewne podług innych prawideł siły atrakcyi spadali, kto więc, czybyśmy nawet przez pewien czas, podobni do ciał niebieskich, w tój atmosferze nie krążyli.

Oberamt. Toby była bardzo ciekawa konstellacya dla tamtego świata.

Baronowa. O tém co nam nie jest wiadomém, wcale rozprawić nie można; jednak wyznać muszę, że od czasu jakem tyle niepojętych rzeczy o magnetyzmie zwierzęcym słyszała, wiele zjawień zupełnie niepojętych podobnemi do prawdy być sędzę; ta myśl o zaludnieniu środka ziemi jest bardzo zachwycająca. Kto wie co to tam za ludzie być mogą?

Ob. Amt. Ludzie, albo małpy, albo też może jakie gadziny; wy Panie, tobyście może i piękniejszych i lepszych od nas mężczyzn tam znaleźć chciały.

Córka. O zapewne, że jeżeli tam są ludzie, to lepsi od tych co po powierzchni ziemi chodzą.

Ja. A to czemu? skądże taka niechęć ku bliźnim?

Córka. Niechęć! tą ja nie jestem przejętą, ale wszakże sobie zawsze lepszego życzymy, wszakże w tém czego nie znamy, zawsze jakąś większą doskonałość upatrujemy, jak w tém co nam już spowszedniało.?

Ob. Amt. Co to to prawda, że tam pod pewnym względem muszą być ludzie lepsi od nas; bo ja się zawsze wracam do mojej piwnicy: jeżeli tam jest tak widno jak w niej kiedy latarnia przypadkiem zagaśnie, to ludzie po omacku chyba jedni na drugich dybią, a przecież w tym stanie ciemnoty nie tyle sobie mogą szkodzić, jak kiedy jedni drugich widzą.

Baronowa. Ale któż powiedział, że tam jest ciemno, albo że się ludzie wśród ciemności nie widzą?

Ob. Amt. Mogą mieć kocie oczy, to prawda, bo na jasność w śródziemnym kraju nigdy nie pozwolę; ciekawa rzecz, skądby tam światło dochodzić miało?

Baronowa. Powtarzam, że tego wiedzieć i pojąć nie możemy, a jednakże to być może.

Córka. Może być, iż mieszkańcy tamtego kraju są wszyscy magnetycznie jasno widzącymi.

Ja. A w tym razie kto wie jeszcze, jak daleko się u nich ten przymiot jasnowidzialności rozciąga; wszakżeśmy mieli przykłady osób, które przez ziemię widziały wodę w jej głębiach ukrytą, i miejsca do studni dokładnie oznaczali....

Ob. Amt. Taki chłopak bardzoby mi był przydatnym, bo się zawsze myślę gdy wody szukam.

Ja. Wszakże w śnie magnetycznym widzą jasnowidzące osoby przedmioty opodal położone, murem od nich przedzielone, i t. p. Wystawmy sobie wyższy stopień téj nadzwyczajnej władzy, a łatwo potrafimy sobie wytłumaczyć, jakim sposobem mieszkańcy śródziemnego kraju bez światła i nawet bez oczu, lepiej od nas wszystkich patrzeć i widzieć mogą.

Baronowa. Ach jakaż to zachwycająca władza to jasnowidzenie! jakby się to ludzie po-

mysłom jedni drugich przypatrywali, jakby mogli przejrzeć wszelkie tajniki serca, przekonać się o przychylności i sposobie myślenia tego z którym los dzielić mają!

Córka. Cobyto za szczerość między ludźmi panowała; żadna myśl gorsząca lub złośliwa nie mogłaby się w umyśle mieścić! cnotaby między ludźmi koniecznie panować musiała.

Ob. Amt. Wszystko to jest bardzo pięknie, ale myślę, że gdybym ja na przykład był tą nadzwyczajną władzą przeglądania obdarzony, to byście moje panie tak naprzeciwno mnie nie siedziały.

Córka. Czemu nie? kto ma czyste sumienie i prosty sposób myślenia, śmiało w obec każdego stanąć może, choćby też i tajemnice jego serca jawnymi stać się miały.

Ob. Amt. Tak, to prawda, ale ja myślę, że ten ktoby miał nadzwyczajną władzę widzenia tego, co się w sercu dzieje, tenby także przez to wszystko przejrzeć musiał co to serce otacza.

— Ach pfuj doch... krzyknęły obie damy, porwały się nieco jak z przelęknienia, i bez myśli osłaniać się zaczęły. Uwaga Oberamtmana przerwała naszą mądrą dySSERTACYĄ; damy porobrały się na prawo i na lewo, wyglądając rozniewane przez okna pojazdu; kuzynek ich trząsał się cały od śmiechu, a ja gryzłem wargi, bom się obawiał śledczych spojrzeń, które kiedy niekiedy damy na mnie rzucały. Powoli zawiązała się inna wcale rozmowa zarówno dla wszy-

stkich obojętna; stanęliśmy nakoniec w Freybergu i uzyskawszy pozwolenie zwiedzenia kopalni udaliśmy się na miejsce główniejszych zakładów.

Tu otworzyło się nowe pole do uwag rubasznych Oberamtmana, tutaj nowe do rozwiązania nawinęły się trudności. Gdyśmy się zabierali iść do miejsca, w którym się do kopalni spuścić mieliśmy, spojrział na nas przewodnik z uśmiechem i oświadczył, iż szkoda byłoby naszych ubiorów do téj podróży, i że się wszyscy po górnierzemu przebrać musimy; jakoż wskazał nam izbę, w której znaleźliśmy cztery kompletne ubiory przygotowane.

— Trzeba było widzieć zadumione miny dam i Oberamtmana, gdy spojrzeli na cztery pary pantalionów ze spencerami z grubego szarego płótna, powalane na wszystkie strony błotem z głębi kopalni przyniesioném, na twarde i brzydkie kołpaki i skórzane fartuchy, które zarówno dla wszystkich przygotowane były. Nikt z nas nie chciał sięgnąć pierwszy po ten strój osobliwy. Baronowa, a szczególnież też córka nie mogły pojąć, za co się one jak na maskaradę przebrać miały, jeszcze do tego w szarawary. Oberamtman poglądał na żabot i żółte spodnie, któreby koniecznie na tém przestrojeniu uciepieć musiały; zadawano niezliczone kwestye przewodnikowi, których rozwiązanie doprowadziło do tego przekonania: że albo się trzeba było przebrać, albo nie podejmować podróży podziemnej.

— *Da ich hier schon einmal bin*, rzekł Oberamtman, usiadł na stolku i zabierał się do przebierania. Baronowa przerzucała pomiędzy szarawarami, krzywiąc się przy każdym. Córka jej nie śmiała się dotknąć żadnych. Dwie trudności się nawijały, najprzód, jak się to będzie wyglądać w tak niepięknym ubiorze? druga, gdzie i jak się przebrać w naszej obecności? Ja ułatwiłem drugą opuszczając izbę, lecz kuzynek nie chciał ustąpić, i stękając nieustannie przy odpinaniu ostróg i zawdziewaniu szarawarów na cały swój piękny ubiór, odpowiedział przekąsami na dam prośby i przełożenia; nakoniec przystał na to, że mu oczy zawiązą, że się tyłem do dam obróci, byle się tylko ze stolka nie ruszył. Gdym po chwili wszedł do izby ubrany jak należy, nie mogłem nie parsechnąć od śmiechu patrząc na moich towarzyszków. Oberamtman stękał nad spinaniem sprzączki fartucha, który z trudnością na peryferyą jego obstawał; damy w majtkach stały zawstyżone, poprzypasywały sobie górnicze fartuchy, tak jak kobiece i z pokorniuchną miną w rękach brudne kołpaki trzymały. Pomieszenie ich do wyższego jeszcze stopnia doszło, gdy przewodnik poodpinał im te fartuchy i na tył je powykręcał. Wszystko było gotowe, dano znak do pochodu, kuzynek podał rękę baronowej, a ja córce, wyszliśmy z izby myśląc, że o parę kroków od domu jest to miejsce, w którym się spuścić mieliśmy.

— *Wir gehen zur Himmelfahrt*, rzekł

przewodnik i wyprowadził nas na wielki trakt, wskazując z daleka budynek do którego iść mieliśmy. Gdyby nie przemagająca ciekawość kobieca, byłyby zapewne nasze towarzyszki uciekły z téj drogi, po której się powozy snuły; lecz uległy pociagowi i ze spuszczonei oczami szły dalej. Gdyśmy się nieco na ustroniu znajdowali, poważyły się dopiero podnieść oczu do góry, i spojrzawszy po sobie, z nami wespół głośno śmiać się zaczęły. Oberamtman tracił jednakże dobry humor w miarę żeśmy się więcej do miejsca wpuszczania się do kopalni zbliżali, i zbladł zupełnie gdy mu pokazano studnię a w niej drabinę, po której wleźć trzeba było: i nasze damy straciły odwagę, i byłyby się tym razem wróciły od samego otworu, gdyby nie ciekawość i ten tak zwany punkt honoru, który nas tylekroć do najniepotrzebniejszych uczynków podbudza. Zapalono latarnie, przypinano je do pasa. Oberamtman wahał się najbardziej i pod tym tylko warunkiem przystał pójść za drugimi, że nie będzie szedł pierwszy, i rzekł: „Oj gdybym ja to był przewidział, żeto takie *wniebowzięcie* (Himmelfahrt) będzie, tobym się nigdy tak daleko nie był zapuszczał.

Nakoniec wszedł przewodnik i ja za nim; nastąpiła sprzeczka kto miał nastąpić; damy nie chciały być immediate nademną, kuzynek życzył sobie być jak najbliższym brzegu; nakoniec musiał ustąpić i poleciwszy się Bogu wlaźł za mną, a cały pochód zamykała córka.

Z boku tuż przy drabinie po której schodziliśmy, był wodociąg, którego ustawiczny loskot największym strachem moich towarzyszków nabiwił. Co kilkadziesiąt schodów pytał się Oberamtman, czy już koniec; to raz narzekał, że kopeć latarni do pasa przypiętej nieznośnie w nos bije, to wrzasnął gdy podnosząc zbyt głowę uderzył się o skałę, to się lękał aby otwór nie był dla niego zaciasnym; nakoniec zszedłszy parę set wschodów stanął, i rzekł: „ja już dalej nie pójdę, to głupstwo w najwyższym stopniu taka podróż; żebym tam miał nie wiem co zobaczyć, to ani kroku nie postąpię.“

— Dalej, dalej, zawołałem poglądając za siebie i widząc o kilkadziesiąt kroków oddalone światło przewodnika, który schodził nie zważając na nas — tutaj zatrzymywać się nie można, bo przewodnik nas odbieży.

Przełęczona baronowa zagrożeniem utraty przewodnika, nie zważa na mowę kuzyna i następuje mu na rękę, którą szczebel drabiny trzymał; gniewa się, krzyczy, lecz chcąc niechcąc idzie dalej, bo nie masz miejsca do przepuszczenia kobiet. Nakoniec zawołał na nas przewodnik i oznajmił, że jest miejsce spoczynku.

— Jużbym też i jednym krokiem dalej nie był postąpił, zawołał zasapany amtman. I gdzież jest kopalnia? gdzie są robotnicy? gdzież jest srebro?

— Tutaj, odpowiedział przewodnik — są tylko dawne zarzucone szyby, i my teraz daleko

niziej pracujemy. Ja się tutaj tylko dla spoczynku państwa zatrzymałem, ale kiedy państwo mogą iść dalej, to proszę.

I otworzył zapadające drzwi, które nam drugą studnią podobną do pierwszej odkryły i w niej znowu drabinę.

— Nie, zawołał amtman, tego głupstwa nie zrobię i drugi raz do studni się nie wpuszcę choćbym i stosy srebra tam miał widzieć.

— Więc do zobaczenia, rzekliśmy jeden za drugim wchodząc do otworu; lecz skoro drzwi za nami zapadły, usłyszeliśmy krzyk jego i prośby, aby na niego poczekać.

— A niech was licho ciężkie opanuje, rzekł do nas gdyśmy mu drzwi otworzyć pomogli, wolę już leżeć za wami jak głupi ostatni, aniżeli sam na sam czekać na was w jakimś czarnym lochu, gdzie się siebie samego boję; ale jeżeli mię kto kiedy drugi raz tak złapie — dodał stękając — jeżeli się kiedy pod ziemię spuszcę, to sobie pozwolę na środku wrocławskiego rynku — aj — toć tutaj jeszcze ciasniej, ja nie terminowałem na kominiarza — ach moja głowa pełna będzie guzów.

Te i tym podobne narzekania oberamtmana przerywały milczenie podróży naszej; bo on jeden tylko był otwarty i szczery w wynurzeniu przykrych wrażeń, które na nim czyniła. Damy milczały dla nadziei zaspokojenia ciekawości i przez obawę wykrycia prawdziwej słabości i bojaźni swojej; jakże i ja milczyć nie miałem,

choć utrudzenie i nieprzyjemne uczucia dotąd jedynym podjętej podróży były skutkiem?

Przybyliśmy nakoniec w miejsce właściwej kopalni, słyhać było z daleka głuchy łoskot uderzania oskardów o twarde skały i świszczanie ścierających się walców i stępli wodociągu; mokro było pod nogami, woda kapiała na nas ze sklepienia. Wchodzimy do świeżo wykutego ganku jeszcze gładzami zapelnionego; huk wystrzału rozległ się po sklepieniu, i dym prochu ogarnął nas wszystkich; krzyknęliśmy wszyscy, a najmocniej Oberamtman, który oddawna zasadzki się obawiał, i ostatniej godziny bliskim być myślał.

— Szkoda, rzekł przewodnik, żeście państwo trochę prędkiej nie przyszli, bylibyście się rozstrzelaniu skały bliżej przypatrzyli.

Wśród gęstego dymu ujrzeliśmy nakoniec światło: A, tutaj będzie zapewne wejście do obszerniej jaskini w której robotnicy pracują, rzekła baronowa, tu przecież zobaczę to czegoś tak ciekawa.

— Szcześć boże, rzekł przewodnik, do jednego robotnika, który brał się właśnie do dłuta i młota — a cóż? macie nadzieję natrafienia na żyłę?

— Już jest odkryta od wczoraj jeszcze i bardzo obfita, odpowiedział podając nam kawałek odlupanej skały z kruszcem. Z pewną chciwą ciekawością rzuciliśmy się na niego, a wszystkim ręce opadły gdyśmy go bliżej obaczyli.

— Gdzież to srebro, zawołał Oberamtman, po które tę przeklętą podróż odbyłem?

— *Baronowa.* A widzisz kuzynku, to co się świeci w tym kawalku.

Córka. I tam gdzie robotnik ten kuje.

Robotnik. Nie, to ołów, srebra tu jest bardzo mało między ołowiem, i na tę trochę kruszczu, który się w tych odlupanych bryłach znajduje, pracuję już od dwóch miesięcy i całą tę galeryę, którąście państwo przyszli, wykucę musiałem nim na tę żyłę trafilem.

Oberamtman. A tu go może nawet tyle nie masz, ile ja go na dzień do wróbli wystrzelam. A co, czyście zaspokoiли waszą ciekawość? czy dobrze jest pod ziemią? czy macie co zazdrościć mieszkańcom jądrowego świata? szedłem kilka set schodów ażebym widział... co? na, odpowiedzcież na to, wy państwo coście tak mądrą dysertacyą o środku ziemi w pojeździe prowadzili: a teraz trzeba te kilkaset szczeblów iść znowu do góry.

Milczały damy zawiedzione w nadziei, milczałem i ja, zasmucony widokiem niewdzięcznej pracy człowieka, który większą część krótkiego życia w ciemności przepędza i niszczy, ażeby nie już próżności bogacza błyszczącego dostarczył kruszczu, lecz aby ledwo szczedną jałmużnę dla żebraka i kilka kul do przeprowadzenia swych bliźnich do kraju wieczności z łona ziemi wydobyl.

ROZDZIAŁ IX.

Ż e b r a k.

Pogodny poranek obudził mię wcześniej na-
zajutrz po znojnym spacerze. Oberamtman chra-
pał w najlepsze, damy nasze w ubocznej izbie
długo w noc z sobą rozmawiały, a zatem długo
na dzień spać będą. Szkoda tracić czas na pró-
żnym oczekiwaniu; Oberamtman i tak zapowie-
dział, że się dzisiaj z powrotem do Drezna spie-
szyć nie będzie; a zatem mogę ich wyprzedzić
i pójść piechotą do Tarantu, gdzie wracając cała
kompania ma wstąpić. Uprzedziłem o moim za-
myśle naszego woźnicę, zapłaciłem należytość w
oberży i puściłem się w podróż.

Najrozmaitsze marzenia zajmowały na prze-
mian mój umysł w tej samotnej podróży, tak jak
liczne malowidła w galeryi obrazów oko zajmują.
Od wnętrza ziemi przechodziłem do powietrznej
strefy, głębokie myśli ustępowały miejsca próżno-

ściom i nicości; rozmyślałem o narodach i o sobie samym, a ten tak ulubiony i naturalny zwrot myśli, który wszystko ku sobie zwraca i do siebie stosuje, doprowadził mię nakoniec do tego, iż się z moim ukochanym *ja* pieścić począłem. *Ja* byłem królem, i doskonale rządziłem; *ja* byłem panem i żyłem sobie najuczciwiej i najwspaniałej; *ja* byłem kochankiem, wzajemnie a nawet szalenie hochnym; *ja* byłem szczęśliwym mężem i ojcem, *ja* słowem byłem tém wszystkiém właśnie, czém nie byłem. Mniejsza o króla, o pana, nie na moje nogi te progi; ale kochankiem, mężem, ojcem szczęśliwym, mógłbym być bezpiecznie, i dziś nawet gdybym się kochał i był kochany, gdybym się był ożenił; gdyby Emilia.... Ale nie ona, tylko *ja* wszystkiemu wienien jestem; *ja*, to raz zanadto nieśmiały, to zanadto ostróżny, to nakoniec zanadto obraźliwy i dumny, popsulem wszystko, odepechnałem od siebie szczęście, które mi się nawijało! Ale kto mi broni kochać się teraz jeszcze, i być przynajmniej rozkochanym jeżeli nie wzajemnie kochanym. Gdzie ona też teraz być może, ta dobra, ta piękna Emilia? będeż ją jeszcze widział kiedy... Tak sobie dumalem i marzenia moje wróciły mi wiek najszczęśliwszy, przeniosły mię do mego kraju, byłem w nim i wśród swoich, póty pokim w Tarrancie nie stanął. Tu mi się dopiero przypomniało, że mię dotychczas i powóz dogonić był powinien: a, kiedy go jeszcze nie masz, zwiedzmy to miejsce.

— Czy tu jest co godnego widzenia? zapytałem służącego w oberży posiłając się winem krajowém.

Ten zaczął się litować nad moją niewiedomością, wyliczył tysiąc ciekawości, i ruiny sławnego zamku, i szkołę leśną z ogrodem botanicznym, i źródło wody mineralnej, a obok niego kąpiele dla chorych urządzone; kończąc zaś długą narracją dodał, *auch die heiligen Hallen müssen Sie sehen.*

— Heilige Hallen; święte sklepienia, co to być może? Którędy się do nich idzie? — Tędy pod górę, potem w prawo, tam będzie słup wskazujący do nich drogę — Idę więc. Święte sklepienia, to są zapewne jakie starożytne sklepy do ruin tego zamku należące, sławne z pobytu pustelników; albo też grotty w skałach wykute. Już minąłem słup wskazujący drogę do tych sklepień, a jeszcze nie widzę ani zwalisk ani skał żadnych, na prawo góra pięknym lasem pokryta, na lewo parów ożywiony strumieniem i licznymi domami: otóż i wszedłem w środek lasu, nie masz już dalej drogi, tylko ścieżka nad parowem. Lecz jakże wyniosłe są te buki, które się na tych wzgórkach i na tym wolnym spadku góry wznoszą; zwarte u wierzchołków ich liście nie dopuszczają promieni słonecznych. Same stare drzewa zajmują całą powierzchnią, żadna młoda latorośl, żaden krzaczek nie przerywa téj jednostajności wieku; tutaj nie zajmuje oka świeżość młodociana natury, lecz poważne wieku upłynio-

nego świadki wzbudzają poszanowanie podobne do tego, którym nas siwa głowa przejmuje. Sięga oko ciekawe wierzchołków, które gęsty liść kryje, szuka pomiędzy pniami otworu, przez któryby dolinę, wioski, horyzont mogło widzieć; próżna usilność, gubi się wzrok między niezliczonymi pniami, cień jednostajny posila je poniekąd, po utrudzeniu blaskiem otwartej okolicy; żadna gałązka, żaden listek nie przerywa milczenia i niewzruszonego życia poważnych buków. Ach jakże to wszystko zachwyca! jak silnie przemawia do serca, które piękności przyrodzenia czuć i poważać umie! Stoję w zamyśleniu i od tego miejsca oderwać się nie mogę! Cóż mię tu wiąże? Głębokie milczenie sędziwej natury, cień który nie przeraża posępnością i ciemnotą, ta samotność wśród poważnie pięknego przyrodzenia, wszystko to pobudza do rozmyślenia, nęci niepojętym urokiem i słodkiem dumaniem umysł napelnia.

Nad brzegiem pieniających się nurtów, które fala o skały roztrąca, uniósłbym myśl zuchwałą do krwawych bojów, na pola śmierci gdzie się krwią niewinną chwały dokupują; wśród skał, które nagie grzbiety na postrach okolicznym dolinom roznoszą, zadrżałbym na wspomnienie przemocy, która i gnębi i poniża; na wierzchołku góry panującej nad bogatą okolicą zajmowałbym się hojnością darów przyrodzenia i płonów pracy, prowadząc wzrok ucieszony po wioskach, niwach i zagrodach w równinie rozsianych: lecz tu w

tym cichym cieniu pomiędzy tysiącem świadków wieków upłynionych, samym sobą tylko i upłynionym wiekiem myśl moją zająć mogę.

Czémże były dla mnie te lata, ta najpiękniejsza część mego wieku? oto dziesiątek lat niewinności i głupstwa, w których się umysł ledwo pojmować nauczył, a serce jeszcze martwém było. Drugi dziesiątek płochości, wyuzdanych imaginacyi zapędów, równie żywych jak nietrwałych uczuć, i zawsze pogodnej a zawsze zwodniczej nadziei. Mija i trzeci dziesiątek: czegożem się w nim doczekał? stanąłem u większej połowy doczesnej drogi; tu miała być jakaś meta, jakiś cel do którego zmierzałem; czyliżem go minął w nierozmyslnym młodości zapędzie? nie widzę go jeszcze, czuję potrzebę i chęć dążenia dalej, a wszystko niepewne, wszystko przedemną zamglone. Moja przeszłość czeza albo ledwo gdzieś niegdzie milém wspomnieniem utrefiona; moja doczesna przyszłość wąta i równą zagrożona niepewnością: a ja tak sam jeden jak opuszczony wędrownik na tej kolei pożycia; sam, bez nikogo ktoby mi pocieszającą gwiazdę w przyszłości pokazał, ktoby pamięć na mnie odziedziczył gdy się tam przeniosę... Ach ta myśl trapiąca łyż wyciska! człowiek który się towarzystwu pracą i przysługą wyplacił, może prędzej jeszcze sam na sam resztę zasłużonych dni przepędzić; jemu pamięć pracy i usługi, jemu wdzięczność ludzi za towarzyszwow w doczesnej podróży służą: lecz próżniak, ten który w nicości przepędził wiek zdol-

ności i pracy i który się wyrzekł związków rodzinnych, o jakże ciężkim jest dla niego ten wiek długi, którego cierpień ani słodczy nikt z nim dzielić nie będzie.... O Emilio — Emilio....

Zabrzmiał dźwięk arfy za mną. . . pierwsze akordy drzenie nadziei i pociechy we mnie wzbudziły. . . . Czyliż pocieszające bóstwo zsyła mi istotę, któraby moją przyszłość ozdobić chciała? Natężona imaginacya przenosi mię do kraju marzeń, obracam się zwolna i spostrzegam w oddaleniu . . . siedzącego żebraka, który z arfą w rękę w tych cieniach na litość i ciekawość podróżnych oczekiwał, i mnie spostrzegłszy, w nadziei jałmużny, w strony swój arfy uderzył.

Jakie przejście od moich marzeń do rzeczywistości! jaki odmienny widok od tego, co go imaginacya dopiero kreśliła. Zamiast anielskiej dziewicy, której czułość i natchnienie tę arfę do rąk podać miały, starzec zgrzybiały w niezgodnym tonów doborze lichego zysku szukający... Omyli go tą razą nadzieja, równie jak on moję nadzieję omylił; stawił mi przykry widok ubóstwa w miejscu pocieszającej piękności, przerwał moje dumania, zdjął zemnie urok uludzenia. Lecz cóż on temu winien? dlaczegóż na nim własnych niedorzeczności poszukiwać? Strapiony surowym zwrotem uwagi na siebie samego potrzebuję pociechy, czyliżbym jęj w tém nie mógł znaleźć, że ją poniosę temu który za nią wzdycha? Poszedłem ku niemu i rzuciwszy dątek w kapelusz przy nim leżący, przypatrzyłem

się poważnej twarzy staruszka, na której smutek znaki swoje wyrzył.

— Niech Pana Bóg błogosławi, rzekł starzec przerywając sobie granie. Nagrodziłeś mię Pan nad moje zasługi.

— Nie; ja chciałem nagrodzić niesprawiedliwość moję względem ciebie.

— Niesprawiedliwość, a to jaką? ja Pana pierwszy raz w życiu widzę.

— Ja w myśli byłem względem ciebie niesprawiedliwym; w chwili gdy mi się graniem przypodobać usiłowałeś.

— W myśli tylko? i za to wynagradzać; to rzadki przykład sumiennosci.

— Rzadki; może w twoich oczach. Dobry staruszku, musiałeś wiele niesprawiedliwości od ludzi doznać i dlatego im więcej złego przypisujesz jakby należało.

— Ja nie doznałem niesprawiedliwości i złości ludzkiej, na bliźnich zagniewany nie jestem.

— A jednakże, jeżeli się nie mylę, widać na twojej twarzy znaki strapienia.

Spojrzał się na mnie starzec z zadziwieniem, i rzekł z uśmiechem pożałowania. — „Umiesz widzę, Panie, odgadnąć tajemnice serca; mam strapienia, to prawda, bo kiedy przyjmuję jałmużnę, to nie muszę opływać w dostatki, i kiedy chodzę wędrowny grajek po miejscach gdzie się gości spodziewam, znać że nie mam własnego zakątka, gdziebym mógł zsiwiałą głowę schro-

nić. . . . Ale temu ludzie nie niewinni, tylko ja sam.

— I tak to wyznajesz otwarcie; i to rzadki przykład.

— Wyznanie moje może komu posłużyć za naukę, dlatego chętnie się zwierzam młodym, którzy jeszcze więcej urojeniu własnemu jak doświadczeniu wierzą. — Czy jesteś Pan żonatym?

— Nie — Dlaczego?

— To źle bardzo, bo już minąłeś trzeci krzyżek życia, jak się dłużej jeszcze spóźniać będziesz, to ci przyjdzie jeżeli nie na to co mnie, to przynajmniej na coś podobnego.

— Jakto? nie rozumiem twojej przestrogi.

— Zaraz, posłuchaj Pan krótkiej i bardzo pospolitej historyi mego życia, a zapewne zrozumiesz do czego ja zmierzam.

— Nie urodziłem się w takim stanie jak Pan, ale też nie byłem na żebraka przeznaczony, a jeżeli nim dziś jestem, pochodzi to ztąd jedynie, że zawsze stanem małżeńskim pogardzałem. Mój ojciec był właścicielem małej włości w Czechach, ojczyźnie mojej; ta szczęśliwa mierność w majątku, która równie od zbytków jak od ubóstwa jest daleką, była z łaski Boga ciąglem domu naszego dziedzictwem.

Rządność i oszczędność mojej matki wiele się do naszej zamożności przykladała, ona nagradzała nieraz straty, przez nieszczęśliwe przyypadki i mniej wyrachowane spekulacye mego ojca poniesione. Ale za to nieraz przykrą była dla

nas i dla męża, nieraz zrzędziła, zwłaszcza gdy kto jakiej straty stał się przyczyną. Uprzykrzyły mi się łajania mojej matki, utyskiwałem nad nie-szczęściem mego ojca, i nie wchodząc w potrzebę pobłażania jednej słabości, tam gdzie ją rzetelne przymioty pokrywają, ubolewałem w cichości nad zbytnią dobrocią mego ojca i postanowiłem wcześniej nie wchodzić nigdy w związki małżeńskie, i to nierozmysłne postanowienie utwierdziłem ślubem, w obec równie jak ja nierozsądnych przyjaciół uczynionym. Nawinęła się wkrótce sposobność złamania danego słowa; dziewczyna, aniół dobroci, zajęła najczystsza miłością moje serce i odpłaciła mi wzajemnością: lecz mniemana stałość umysłu i hańba do złamania jakkolwiek nierozsądnie danego słowa przywiązywana, przemogły nad słodkiem uczuciem miłości, nad łzami stale kochającej dziewczyny. Raz w uniesieniu obłąkanego umysłu, poczytałem za dowód męstwa poświęcić miłość i wszelkie obowiązki względem rodziców i kraju, dochowaniu danego słowa, i jak ciężką zbrodnią przyciśniony winowajca, porzuciłem nocną porą dom rodzicielski i ojczyznę moją, i biegłem jak szaleniec szukać opodal szczęścia wtedy, gdy je już pod własną strzechą posiadałem.

Przyjąłem służbę najprzód w austryackim a następnie i w obcym wojsku. Przepędziłem wiek młody pod chorągwiemi, do których mię ani miłość ojczyzny, ani żadne względem niej obowiązki nie wiązały; rozlewałem nieraz krew

bliźnich, którym nawet zarzutu nieprzyjaciół mego kraju czynić nie mogłem; byłem nieraz walcącym bez żadnego zaszczytu, dobijałem się krwią własną płonnej sławy, która mi nieczyjjej wdzięczności nie zjednała. Tak przepędziłem lat trzydzieści kilka, w ciągu których byłem zawsze i wszędzie cudzoziemcem, wyzutym ze wszelkich związków rodzinnych; nakoniec stargawszy siły na najemnej służbie, wróciłem kaleką do ojczystej zagrody, w nadziei spędzenia w spoczynku resztę dni moich. Lecz niestety i tutaj cudzoziemcem byłem. Nie mogłem nawet znaleźć miejsca, gdzie dawniej zagroda rodzicielska była; pozbawieni syna rodzice sprzedali ją możniejszemu sąsiadowi, który ją do dóbr swoich wcielił. Nieznajomy wszystkim, od wielu za oszusta poczytany, bląkałem się między swoimi i byłbym nawet nigdzie przytulku nie znalazł, gdyby nie dobroczynna niewiasta, która mię w smutku pogrążonego na drodze spotkała i w własnym domu gościnność ofiarowała. W tym domu miała się dopełnić miara kary, którą niebo na mnie tak słusznie wymierzyło, przedstawiając przed oczy moje wierny obraz tego szczęścia, którem ja samochęcący od siebie odepechnął. Rządność, dostatek, wesołość, wszystkie słowem oznaki błogosławieństwa, panowały w tym domu, a właścicielką jego była ta sama niewiasta, której ja miłością w młodym wieku wzgardziłem. — Smutek ogarnął serce i w rozpacz porzuciłem po raz drugi rodzinne okolice, ażeby tulać się

po świecie, sam na sam bez żadnego przyjaciela, któryby troski moje dzielił, póty, póki mi niebo za karę to nędzne życie dzwigać każe.

Tu skończył starzec; ja stałem przed nim w zadumaniu; los jego smutkiem mię przejął, chciałem ukoić jego zgryzoty, ponowiłem jałmużnę; przyjął ją obojętnie; podziękował i otarłszy z łez zgrzybiałe powieki, oddalił się odemnie. A ja zająłem jego miejsce na murawie, i zatopiony w myślach poglądam w milczeniu w cieniasty parów; kto wie, może ja miejsce jego na świecie zajmę! *Sam na sam bez przyjaciela, i cudzoziemiec*: oto wyrazy które mi się mimowolnie po umyśle snuły. I ja jeszcze jestem sam na téj ziemi, i ja wędrówkę pożycia bez przyjaciela odbywam, i ja tutaj cudzoziemcem jestem. Dlaczegoż bez celu obce zwiedzam kraje? Dlaczegoż mi się zaciasno być zdaje w obszernych równinach mojej ojczyzny? Czemuż mię to zawsze tęschna myśl po za granice tego okręgu, co go oko w własnej zagrodzie objąć może, unosi? Dlaczegoż mi to zawsze tak nudno, tak smutno, w własnym domu. A później gdy dobijają godziny tych lat, w których się jeszcze nadzieją napawać wolno, któż mi osłodzi troski? kto zemną przebieży wszystkie koleje pożycia? kto uprzyjemni pobyt w własnej zagrodzie?... Ach czegoż ja czas tak drogi dla mnie na próżnej marnuję wędrówce? wszakże tutaj cudzoziemcem jestem, a tam przynajmniej dziś jeszcze między swoimi; i w własnym mieszkać

mogę domku, możeby kiedyś i tój mi nawet za-
brakło pociechy. . .

— A ja bym się była założyła, że Pana w
świętych sklepieniach znajdziemy, *car je crois*
monsieur fort romanesque.

Te wyrazy niespodzianie za mną wyrze-
czone ocuciły mię z marzenia, spostrzegłem moje
towarzyszki podróży. Pani baronowa postępowała
za córką, która powyższe słowa wyrzekła, toczył
się za niemi oberamtman o jakże ja tóż
obcym cudzoziemcem między nimi jestem.

— No, moje Panie, rzekł zbliżając się ober-
amtman, niech wam kto chce drugi raz służy
za towarzysza podróży, bo co ja, to już nigdy
tak głupi nie będę; idziemy już z godzinę z
góry na dół i z dołu pod górę, do jakichś
świętych sklepień, a ja jeszcze i jednej cegły nie
widziałem, wszędzie las i drzewa i koniec na
tém, a ja co się pocę i trudem to wszystko
za nic.

— Czegóż chcesz, rzekła baronowa, toć już
stanęliśmy na miejscu, wznies twoje gminne oko
ku tym liściom i konarom, z których odwieczna
siła te święte uwiła sklepienia, nie widzisz
tam zawieszonych wspomnień kilku wieków! czy-
liż nie słyszysz cudownych natchnień tych staro-
żytnych synów ziemi! Nie przejmuję cię świą-
tobliwém uszanowaniem ten cień szeroko i wie-
cznie po parowach rozpostarty. . . .

Oberamtman, który słuchał z uwagą wynio-
słej mowy baronowej, patrzył w górę gdy mu

ona tam poglądać kazala, przerwał jój nakoniec zniecierpliwiony, mówiąc. . . . I cóż téż to Wasani gadasz? to aż zgroza słuchać, myślałby kto, żeś albo niespełna rozumu albo że sobie chcesz z nas żartować; każesz mi wznieść oko w górę, ja patrzę aż mię kark boli i nie nie widzę, jak takie same liście i gałęzie jak w moim lesie i nie wiem, coby w tych świętszego być miało jak w moich drzewach; każesz mi spostrzegać coś wiszącego u tych gałęzi, a ja tam nawet i wróbla nie widziałem; pytasz mi się czy nie słyszę czegoś, a ja prócz odgłosu kilku gęsi które się gdzieś za lasem odezwały, nic innego nie słyszę; chcesz żebym się przejął uszanowaniem dla tego cienia, który mnie tylko wilgotnym chłodem przejmuje, tak dalece iż obawiając się kataru robię prawo w tył i wracam do pojazdu. — A nie czekając odpowiedzi wykonał co powiedział, i nie zważał bynajmniej na dobór wyrazów które baronowa do niego stosowała, ażeby tém dobitniej prostactwo i nieczułość jego opisać.

R O Z D Z I A Ł X.

Zamysły małżeństwa.

Gdym w wieczór wrócił do mego mieszkania w Dreznie, ułożony już był nieodzownie zamiar opuszczenia tego miasta nazajutrz z rana; to postanowienie było skutkiem wrażeń w ciągu dnia odebranych; tęskniłem za krajem i w jednej chwili zamiar mój do skutku przyprowadzić chciałem. Paweł wszedł za mną do pokoju, położył płaszcz mój na stolku, i stanął przy drzwiach. Spuszczone oczy jego, któremi zdawał się rachować palce u ręki, też ręce niespokojne i trzeszczące pod gniecieniem i wyciąganiem stawów u palcy, przestępywanie z jednej nogi na drugą i powtórzony chrząchanie; wszystko to mię przekonywało, że Pan Paweł ma coś ciężkiego na sercu, czego się pozbyć pragnął i że miał wię-

cój chęci jak śmiałości, wyjawienia mi myśli swoich.

Udając że tego nie postrzegam, rzekłem do niego: Pawle, jutro jak najraniiej wyjeżdżam, nie trać czasu i pakuj co żywo.

Te słów kilka powiększyły pomieszanie jego, zarumienił się mocno, otworzył po dwakroć usta i rzekł z wyrazem największego zadziwienia: jakto jutro rano?

— A to zabawne pytanie, cóż w tém dziwnego? wiekować tutaj nie myślę.

— Ale proszę Pana, bo ja się nie spodziewałem ażebyśmy mieli tak prędko odjechać.

— I cóż z tego?

— Oto . . . (zbliżył się, ścisnął mię za nogę) oto ja Panie jutro jechać nie mogę.

— Doprawdy? cóżto cię tak zatrzymuje, czy balik zamówiony na jutro w jakiej szynkowni? Zapewne, skoro Pan Paweł nie może jechać, to i ja tutaj jeszcze zostać muszę.

— Nie, ja tego nie mówię, ale kiedy Pan jutro odjeżdżasz, to ja . . .

— No i cóż?

— Ja, ja Panu . . .

— No, cóż przecież?

— Dziękuję za służbę.

— Za służbę dziękujesz! A to dla jakiej przyczyny? wszakżem ci nigdy żadnej krzywdy nie wyrządził. Cóż ty tutaj w obcym kraju nie umiejac języka poczniesz?

— Ja Pańską służbą nie gardzę... ale dosyć już téj bujaczki na świecie.

— Jakto? przykrzy ci się podróżowanie, nie lękaj się tego, bo skoro tylko wrócę do domu to już nigdzie nie wyjadę.

— Nie, to nie to, ja mówię że człowiek nie może tak zawsze zostać jak kolek, i że trzeba przecież pomyśleć o sobie.

— I tyś już pomyślał, i to przez dzień wczorajszy, cożes tedy wymyślił i postanowił?

— Oto Wielmożny Panie (powtórne ściśnienie nogi mojej) ja się chcę żenić.

Na te słowa odwróciłem się nagle, rzuciłem książkę, w której podczas rozmowy naszej machinalnie karty przewracałem, i spojrzałem zaskiwiony na Pawła. On się cofał pomalu odemnie, poglądał to na mnie to na palce które teraz mocniej jak kiedykolwiek trzeszczały, stanął u drzwi jakby czekając wyroku.

— Ty chcesz się żenić, zawołałem, i to tutaj w Dreźnie?

— Tutaj albo nie tutaj, nie wiem jeszcze jak ona będzie chciała.

— Jakżeś ty się mógł rozmówić i oświadczyć swoje życzenia? ty...

— Jak? oto po prostu jak w naszym stanie przystoi.

— Ale jakżeś tak prędko mógł zrobić znajomość i przekonać się, że to co dobrego ta twoja ulubiona; także wam to mało czasu do wzajemnego ocenienia siebie potrzeba? Wszakże

jeszcze wczoraj rano nie mi o tém nie wspominałeś.

— Ale bo też to po wyjeździe Pańskim dopiero.

— Co, od wczoraj rana do dziś wieczór, poznanie, pokochanie i zaręczyny.

— O nie, my się już dawniej znamy i potem, widzi Wielmożny Pan, że za granicą to człek tęskni do swoich, a gdy swoją zobaczy to ją prędej polubi jak między swoimi.

— Cóż ty znowu ze swoją i swoimi, któż tedy jest ta twoja ulubiona?

— Wielmożny Pan pamięta tę ładną służącą tych państwa co to z nami stali w jednej oberży w Wrocławiu, co ja się to na pożegnanie tak spilem, to ona.

— Jakto ona, a skądże ona się tu wzięła?

— Zwyczajnie z państwem przyjechała blisko już od tygodnia, ja się o niej dopiero wczoraj rano przypadkiem dowiedziałem.

— A czemużeś gawronie od razu nie powiedział, że ci Państwo tutaj przyjechali? Gdzież stoja? gadajże, dawaj prędej kapelusz.

— Ale Panie już późno a tamta Pani chora, to już po dziewiątej.

— No to biegaj co tchu, dowiedz się czy można się jeszcze widzieć z Panią, albo przynajmniej o której godzinie jutro będzie ją można odwiedzić?

— A biegajże, czegoż stoisz i patrzysz się na mnie z zadziwieniem? — Nie miał się dziwić,

skąd się wzięła moja niecierpliwość, alboż on może wiedzieć jak mnie Matylda mocno obchodzi, mnie cudzoziemca, nieledwie sierotę na całej ziemi. Los to może jaki nadzwyczajny tak nas z sobą zbliża, może pomimo wszelkich przeszkód znajdę jeszcze w tobie, Matyldo, towarzyszkę życia, a wtenczas nie będę sam na świecie. — Porwałem się z krzesła i zacząłem wielkie kroki po pokoju sadzić, i myśleć o samém szczęściu. Zawsze marzenia i próżna otucha; a kiedyż ja się z téj umysłowej choroby ulecę! Lecz otóż i doktor wchodzi. I cóż mi dobrego poradzisz?

— Nic, rzekł Paweł, ani złego ani dobrego.

— A to czemu?

— Bo wszyscy śpią i chyba jutro rano koło dziesiątej będzie się trzeba dowiedzieć.

Wszakżem powiedział, że to będzie doktor na moje marzenia. Ale rozumiem, że jego niepomysłne doniesienie tak tylko będzie skutkować, jak to lekarstwo co bóle na chwilę uśmierza; jeszcze noc całą do rozmyślania mam przed sobą. Noc całą, ach jak to długo. Przypomniało mi się owo dziecko, któremu matka pokazała na wieczór sukienkę, którą po raz pierwszy nazajutrz miało oblec, w wielkiem ukontentowaniu rzekło do matki: „mamo, to ja się zaraz spać położę, żeby prędko rano było.“ I ja też tak zrobię; albożto nie jestem dorosłym dzieckiem! Smiejemy się nieraz z dzieciństwa, nie pomnąc na to, że wszystkie postęпки nasze mniej więcej

tą pierwszego wieku lekkomyślnością i głupotą trącą. [Dziecko ubiega się za cackami i świecidłami, i my dojrzały ludzie też samo czynimy, z tą tylko różnicą, żeśmy świecidelko dziecinne cackiem, a świecidelka nasze szumnemi ponazywali nazwiskami: dziecko jest łakome i czasem obżarte, a my łakniemy i bogactw i zaszczytów; dziecko się napiera i płacze kiedy nie dostanie, my pochlebstwem lub podstępem usiłujemy obcego nabyć i mścimy się gdy nasze życzenia spełnione nie zostaną; to co jest uporem u dziecka, nazywa się u nas mocą charakteru; a kłamstwo i złość rośnie tylko z latami, skoro raz tylko zaród tych przywar w naszym się sercu znajduje.] Słowem, dziecko jest tym pączkiem kwiatu, w którym wszystkie przyszłe listki i części jego są już pozwijane i ukryte; póki pączek zielony, nikt na niego nie spojrzy, gdy się kwiat rozwinie każdy go chwali, a jednak nie masz w nim nic nowego; wszystko to już było w zielonym pączku ukryte.

Położyłem się spać i nazajutrz rano nie wiedziałem nawet o czém mi się śniło; a Paweł, który mnie obudził, oznajmił mi co mię czeka.

— A idźże do tego Państwa, rzekłem gdy się przebudził i spostrzegł go wchodzącego we drzwi.

— I toćem już był, — odpowiedział z miną kwaśną.

— No i cóż?

— A nic, nie masz już nikogo, już odjechali.

— Jako, i tyś już nikogo nie zastał?

— Toć zastałem jeszcze, ale już odjechali.

— A czemużes mię niezdaro raniěj nie obudził?

— Ja tu przychodził po dwa razy, ale Pan spał tak smaczno, że mi było żal pana obudzić.

— A bogdajże cię licho trafiło, a czyżes nie mógł domyśleć się, że mnie wiele na tém zależy ażebym się z tém Państwem widział?

— I co tam Panu potém, mnie oto gorzěj, bo Zosia musiała odjechać a ja zostałem na koszu.

— Ale skądże ten tak nagły wyjazd?

— Oto po obiedzie wczoraj nazjeżdżało się do těj Pani pełno doktorów i uradzili, że tam do jakichcis Wód jak najprędzěj trzeba jěj pojechać, i ona też nie tracąc czasu zabrała się dziś rano, i trzeba jeszcze, że mi tak żonę koło siebie zaprzatnęła, żem się z nią ani widziéc nie mógł i żem jěj těj oto chustki com dla niěj kupił, nie miał kiedy oddać.

To rzekłszy, dobył z kieszeni chustkę kobiecą, otarł sobie nią oczy i rzucił ją w kąć.

— A czy nie wiesz przynajmniej do których wód oni pojechali?

— A kto je tam spamięta te szkaradne ich nazwiska.

— Ale bo widzisz, gdyby się można dowiedziéc dokąd pojechali, i gdyby niebardzo było

z drogi, tobym gotów zboczyć umyślnie dla tego ażebyś ty się z twoją żoną widział.

— Ach Panie, tożto łatwo się dowiedziéć, tylko niech Pan pójdzie do téj oberży gdzie stali, a Pan się przecież z Niemcem dogadasz.

Poszedłem za radą Pawła, i w kilka godzin potém już byłem na drodze do Szląska. Nie mogłem bowiem dowiedziéć się czego innego w oberży nad to, że poczta na trakt szląski zamówioną była.

Jadę więc teraz za oblubienicą Pana Pawła, on przynajmniej jest w tém przekonaniu, to przypuszcza naturalnie wielką w nim głupotę. Wybadajmy go w téj mierze.

— Powiedzże mi Pawle, cóż ty będziesz robił jak się z twoją Zosią ożenisz.

— Co? toć trzeba wprzód żebym ją znalazł, potém żebym się z nią ożenił, a dopiero potém pomyślę co czynić wypadnie.

— Że ją znajdziemy to pewna, kiedy za nią jedziemy.

Paweł obejrzał się, wyszczerzył zęby z uśmiechem, spojrział mi się podejrzliwie w oczy i ruszył ramionami.

— Czegóż się tak na mnie patrzysz i ramionami ruszasz?

— Boć mnie Pan masz już za tak 'głupiego.

— Jakto?

— I toć ja przecież wiem dobrze, żeby Pan za moją żoną nie jeździł.

— A za czémże?

— Albo ja wiem za czém? ja sobie ód samego wyjazdu głowę suszę, poco Pan po świecie się tłucze, i nie wymyśléć nie mogę, a miałbym wiedziéć gdzie i po co teraz jedziemy.

— Zaręczam ci, że tam pojedę gdzie twoja żona pojechała.

— Może, ale nie za Zosią... odpowiedział kiwnąwszy głową, z owym tonem i przyciskiem, które domyślanie się oznaczają. Poprzestałem na tém w obawie, aby mi nakoniec domysłów swoich nie wyjawil... A czyliżto mam tajemnice, której odkrycia się obawiam? Ja podobno z sobą samym jeszcze rachunku sumienia nie odbyłem, kto wie coby się wykryło po obliczeniu wszystkich *pro i contra*, wszystkich życzeń, wniosków i nadziei. Boć istotnie poco jadę za nią? Dlaczegoż wiadomość o jej bytności w Dreźnie tak mocne na mnie uczyniła wrażenie? Skąd to ciągle zajęcie myśli jednym tylko przedmiotem? Niechaj to wytłumaczy ten który więcej rozumować jak czuć umie; ja wiem tylko, że widzenie i poznanie za granicą pięknej i ujmującej dobrymi przymiotami kobiety, mocniejsze na umyśle czyni wrażenie, jak gdybym ją w kraju widział: że za granicą dopiero czuć można ten wrodzony pociąg ku ziomkom, którybym najwłaściwiej do pomilowania braterskiego przyrównał. Tak jest, uczucie podobne do miłości, którąbym siostrze poświęcił, zajmuje serce moje dla téj... Otóż to jest skutek rozumowania: jużem sobie pozwolił na uczucie rodzinnej miłości; powoli

jak zaczęę argumenta mnożyć i pobłażać sobie samemu, to nakoniec i ten przymiotnik *rodzinny* wymażę; a wtedy wypadnie myśleć, naprzód o szczęściu, którebym w dzielonej miłości znalazł, dalej o przeciwnościach które spotkam, naostatek, o sposobach ich zniesienia. Do tych marzeń niech się dołączy chęć działania, niech szukam podniety namiętności, a wkrótce i własną i obcą zmieszam spokojność, i występkiem może obciążę sumienie. Takito nieraz jest skutek dumania i podstępnej umowy z sobą samym: nieraz złe które nas zrazu odstręcza, traci z wolna odrażającą postać swoją; wewnętrzne pochlebianie własnym słabościom pokrywa ohydę, i nakoniec znajdzie sposób usprawiedliwienia tego, co nas dawniej odrażało... Tak z sobą moralizowałem i zdrowe bardzo sobie samemu dawałem przestrogi, które mnie od zamierzonej podróży odwieść powinny były, lecz spostrzegłem w miasteczku dom pocztowy. Stój! stój! zawołałem, trzeba się dowiedzieć, dokąd ztąd pocztę brali... i widok trąbki pocztowej cały skutek mego rozumowania obalił.

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Tak jest, ostatni — bo już podróżować nie będę; stanąłem u kresu, wtedy gdy się tego najmniej spodziewałem, nie miałem żadnego celu, gdy podróż moją przedsiębrałem, a osiągnąłem cel tak ważny, tak stanowczy!... Aż nie wiem czy znajdę dosyć cierpliwości, abym z kolei opisał co mi się stało, abym od końca powieści mojej nie zaczął.

W chwili opuszczenia Drezna zupełna jednostajność w całym moim pojeździe panowała; mnie się ciągle marzyło o Matyldzie; Paweł albo myślał o Zosi i rozwijał chustkę dla niej przeznaczoną, aby wznowić jej pamięć, albo spał dla odmiany; furman myślał jak zwykle o koniach i z nimi tylko rozmawiał, i podobno z nas trzech największego rozsądku dawał dowody. Nasze dumania, chrapania i wołania na konie, przery-

wały się tylko wtedy gdyśmy koło pocztowego domu przejeżdżali, w którym o obrocie karety z grubym Jegomościem wiadomość powziąć można było. Z resztą wszyscyśmy zarówno obojętni byli na to co się około nas działo; bo ja byłem jak ów zegar ścienny, który raz nakręcony zawsze w jednym takcie mówi *tyk, tyk*, chociażby około niego w najrozmaitszych taktach grano, i który co godzina tylko tak, jak ja przed każdym domem pocztowym, zawarczy i kilka głośniejszych tonów wibije, które monotonią perpendykulowego cykania przerywają.

Lecz od poczty do poczty, trafiłem nakoniec na tę która była pograniczną, a tam uprzejmie od celnika przyjęty, gdyś mu najstaranniej wyznał, że nie takiego nie mam coby opłacie celnej ulegało; mój Paweł stęśchniony za Zosią dobył z flegmą owęj chustki i po raz pięćsetny rozkładać i składać ją zaczął, jakby umyślnie na to aby celnika przekonać, żeś ja skłamał. Uradowany odkryciem kontrabandy skoczył do Pawła, aby mu ten w tak dobrej wierze okazany *Corpus delicti* zabrać, a ponieważ nie mógł się z nim rozmówić i tylko gwałtem dar miłości wydrzczyć mu usiłował, otrzymał od Pawła upominek, którego ślad i na twarzy i w spisany natychmiast protokule pozostał. Za tём poszło to, iż zamiast ścigania karety z grubym Jegomościem, musiałem dzień cały w celbudzie siedzieć, dwa inkwizytorya odbyć, niezliczoną ilość grubiaństw i przekasów strawić, chustkę Pawła zostawić i pięć

razy tyle ile ona wraz z cłem wartą była, opłacić, nim się uniewinnić z pod zapowiedzianego aresztu i procesu oswobodzić potrafiłem. A co najgorsza, że przy tém wszystkiém straciłem ślad karety za którą jechałem; od czasu bowiem jak w celbudzie siedziałem, kilka pojazdów w różne strony pocztą przejechało, dlatego żadnej wiadomości o kierunku tego, który mię jedynie obchodził, powziąć nie mogłem.

— I cóż teraz będzie? rzekłem do Pawła wychodząc z następnego domu pocztowego — już po twojej Zosi, bo się nie mogę dopytać dokąd pojechali.

— I niech ją tam lichy ciężkie porwie, (odpowiedział), kiedym ja próżno dla niej kilkanaście złotych stracił i oto pana jeszcze na zmarnowanie pieniędzy wystawił?

— Co? już nie dbasz o nią... Oto, pomyślałem sobie, człowiek łatwy do pocieszenia; czemuż ja za jego przykładem nie idę, czegoż teraz rozmyślam nad tém, gdzieby się to obrócić aby ją znaleźć? dlaczegoż mię to taki smutek ogarnął, jak gdybym co najdroższego utracił?...

— Lecz mnie nadzieja jeszcze nie odstąpiła; najbliższe wody od miejsca w którym się znajdowałem, były Warmbrunn i tam śpieszyć kazałem, pewny poniekąd pomyslnego skutku mego domysłu.

— Nie zjściła się moja nadzieja; zapełniony ludźmi Warmbrunn był dla mnie pustym. Przebiegłem kilka razy długą topolową aleję, spo-

strzegłem w niej kilku ziomków, wszystkich na wyższy ton nastrojonych, jak ten który im był właściwy — przebiegłem salony i domy zajezdne... nie znalazłszy ich nigdzie. Więc już jest przeznaczeniem mojem, że dozgonnie sam na sam pozostanę, zawolałem w żalu — i czegoż mam dłużej bawić między cudzoziemcami i ludźmi się próżnym urojeniem, które się nigdy nie zjści. Porzucę tę ziemię, wrócę zamknąć się w ustroju domowém... Pełen tego rozpaczającego postanowienia, chciałem po raz ostatni ucieszyć się jeszcze widokiem pięknej natury i pożegnać się poniekąd z tym krajem, któremu tyle tkliwych wrażeń, tyle pięknych nadziei winien jestem.

W tym zamiarze udałem się na wierzch góry Kynastu, aby się zająć raz jeszcze widokiem, jakiego niestety w własnym kraju nie znajdę. Nie tak mię bowiem zajmują skały, to zielonością, to śniegiem pokryte, ani obszerne w dolinie widoki, jak tu szeroko przedemną rozpostarty żywy obraz przemysłu i bogactwa człowieka. Czemże jest ów szczyt najwznioslejszej góry, na którym się corocznie śnieg bieli? oto kawałem martwej ziemi, która się poniekąd dla tego nad poziom wzniosła, ażeby się nikomu plonem nie wypłaciła i siwem czołem zielonej dolinie groziła. Czyliżby owe pagórki w okolicy miały tę postać wesolą, gdyby je dzikie tylko drzewa pokrywały; gdyby człowiek posad na nich nie był pozakładał? Czyliżby zarosłe nie kryły przed okiem biegu tej świeżej wody, czyby jej wylew żyznej niwy w

bagno nie był zamienił, gdyby jój przemysł ludzki wstrzymać, zwrócić, i w każdym punkcie do użytku obrócić nie był potrafił? Czémże są dzisiaj te sławne zwaliska Kynastu, w których niegdyś sroga piękność panowała, a z których długo zapewne przemoc gnębiącą władzę na pracowitych mieszkańców téj doliny rozpościerała? Na tę tu dolinę zwróć zachwycone oko, czy widzisz jak w niedościgłym pasmie snują się domki za domami. Mało tu gmachów, nie masz tu wielkiego miasta, lecz gdziekolwiek sięgniesz okiem, wszędzie domek porządny, ogród, drzewa, łąka i plony, wszędzie mieszkanie pracowitego człowieka, którego Opatrzność darami swemi błogosławi.

Gdzież masz widok któryby bardziej rozweselał i pocieszał? znajdujesz w nim bowiem obraz zamożności i szczęśliwości człowieka, a zarazem jego moralnej dobroci; bo ten człowiek pracowity, który tę tak wypielęgnowaną zagrodę posiada, umie wielbić Boga, który go dobrodziejstwem obsypuje, kochać kraj którego sam cząsteczkę posiada, miłować ludzi w których pomoc i udział własnych uczuć znajduje. Tam gdzie duch przemysłu panuje, tam człowiek jest dobrym, w całym znaczeniu tego wyrazu, i sam tylko zgnusniały i zbyt oddany próżniak wartości jego ocenić nie umie.

Długo stałem oparty o ścianę małej chatki, która nad samym brzegiem góry stoi i nie mogłem oderwać się od zachwycającego widoku, gdy przyjemny głos niewieści, który mię z o-

twartego okienka dochodził, przerwał marzenia, wzbudził ciekawość poznania téj, która w chatce rozmawiała. Opuszczam więc moje miejsce, i dowiedziawszy się od staréj wieśniaczki, która podróżującym za przewodniczkę w ruinach Kynastu służy, iż skromny ów domek jest pewnym rodzajem oberży, wchodzę śmiało aby ciekawość zaspokoić.

W małej izdebce spostrzegam piękną młodą matkę karmiącą zdrowe niemowlę, i zajętą opowiadaniem, które częste łzy przerywają. Tyłem do drzwi siedzą dwie damy, jedna z nich w żalobie, i słuchają z uwagą powieści; stara niewiasta, babka bez wątpienia niemowlęcia, zatrudniona słaniem kolebki dla niego. Zajął mię ten widok niewiast, to macierzyńską troskliwością, to łatwym udziałem obcej niedoli zajętych; niespostrzeżony zatrzymałem się przy drzwiach w sionce, i niechęć przerwać powieści, starałem się zaspokoić dwoiście zaostrzoną ciekawość.

„Po wytrwaniu w tych ciężkich próbach nieszczęścia i upokorzenia, rzekła dalej piękna niewiasta — zostałem na końcu małżonką Wilhelma. Pierwsze chwile szczęścia naszego nie pozwoliły zwrócić uwagi na przyszłość, lecz wkrótce poznaliśmy, że szczupła płaca Podporucznika na utrzymanie nasze ledwo wystarczała, i obawa nas przejęła na samo wspomnienie pomnożenia rodziny. To smutne przekonanie znagłało do szukania zarobku i znaczniejszych zasiłków w pracy własnej. Możeby mąż mój nie był porzucił wojska,

możebym ja przez pilność moją była zapełniła nasz niedostatek, możeby żył mój Wilhelm dotychczas, gdyby te znikome powaby twarzy mojej nie były nieszczęścia naszego przyspieszyły. Ubogi Podporucznik z piękną żoną był, jak mówiono, skarbem w pułku; przełożeni jego ubiegali się w oświadczeniu mu łaskawych względów, a jeden z nich miał tyle bezczelności, że do mnie wyrazami miłości przemówił. Poniżona i pełna trwogi, nie znalazłam w sobie samą dosyć mocy, ażeby upokorzyć dumę i rozwiążłość; zalałam się łzami, a płacz mój rzewliwy oddalił odemnie zadziwionego napastnika. Wilhelm za powrotem swoim zastał mię pogrążoną w smutku: nie chciałam wyjawić przyczyny mej zgryzoty, z obawy aby chęć zemsty za krzywdę do serca jego nie weszła; prosiłam go tylko, aby porzucił służbę wojenną, i poszukał jaki od ludzi odosobniony zakątek, w którymbyśmy bezpieczni od ich złości oboje na kawałek chleba pracować mogli. Ta chatka była tém miejscem, które mój Wilhelm niebaczny na słabość swego zdrowia obrał. Ostatni nasz fundusz obróciliśmy na założenie tego domu, wygodzie ciekawych podróży przeznaczonemu. Ciężka praca obójga i dobroć nieba zjednały nam zrazu powodzenie. Lecz wysokość tej góry, i codzienne podróże Wilhelma zaczęły działać zgubnie na piersi jego trudami wojennymi osłabione. Powiłam syna i wtedy właśnie troskliwość mężowska kazała mu zapomnieć o własnej słabości, tak dalece że w kilka ledwie

miesiący po urodzeniu się tego niemowlęcia zgaś w naszych objęciach“ .. Tu łzy strumieniami pokryły piękne jęj lica, podobneż rozrzewnienie musiało przejać damę w żalobie tyłem do mnie siedzącą, bo wzniosła rękę z chustką ku oczom, potem powstawszy zbliżyła się do matki, pocałowała jęj dziecko i ukrywszy nieznacznie w kolebce hojny podarunek, zwróciła się śpiesznie ku drzwiom; mija mnie i wychodzi... „Ach! to ona, to ona“ zawolałem i wypadam za nią, zapamiętały jak gdybym miał gonić uciekającą. Odgłos w języku ojczystym, i wyrazy dowodzące znajomość osoby, wstrzymały wkrótce zadziwioną; stawam przed nią i w zachwyceniu biorę za rękę i z niewymowném uczuciem do moich ust je przyiskam.

Lecz któż to był? Nie ta której szukałem, nie ta za którą mię płochę myśli i nadzieje prowadziły; więcęj znalazłem jak się spodziewać mogłem, więcęj jak zasłużyłem: bo Emilia stała przedemną.

Emilia, którą dopiero widziałem świadczącą dobroczynność, która otarła łzy litości, aby powieki lżą pociechy zmoczyć, przełknięona zrazu a potem z najżywszém radości uczuciem dawnego witająca przyjaciela, Emilia stała przedemną.

Nie, tego pomieszania najżywszėj radości z obawą rozstrzygnięcia wątpliwości, tego oddania się rozkoszy obok słabėj nadziei szczęścia, które na mnie czekały, tych słowem uczuć, które serce

moje przepelniały, opisać zdolnym nie jestem. Milczałem i czekałem wyroku Szczęśliwa gwiazda przewodniczyła mi tym razem w podróży, i doprowadziła do celu wszystkich życzeń moich. Emilia była wdową po mężu, któremu rękę a nie serce oddała, Emilia była wolna i przyrzekła być towarzyszką mego życia. Już więc z domowego ustronia samotność i tęsknota na zawsze ustąpią, a spokojne szczęście ich miejsce obok Emilii zajmie.

W druku w Warszawie w 1840 roku.

K o n i e c .



W drukarni M. Frydlendera w Wrocławiu.

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F
3058
5